Cena 5 zł.

KUŹNICA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

...NAJSTRASZNIEJSZY, NAJOKROPNIEJSZY JEST TERRORYZM ZAWZIĘTEGO W ŚMIESZNYM UPRZEDZENIU MNIEMANIA, TERRORYZM OBSKURANTYZMU POLITYCZNEGO, TERRORYZM SOCJALNEGO NIEROZUMU.

Maurycy Mochnacki

Rok 2 Łódź, 7 stycznia 1946 r. Nr 1 (19)

Dar Wydawnictwa dla Miejskiej Biblioteki Publ. w Łodzi № 14 dn. 8/1-1947 r.
I-29245/64

ST. A. MAJEWSKI

Niebezpieczne mity

W okresach gruntownych przełomów gospodarczo - społecznych i idących w ślad za nimi przewrotów umysłowych pojawiają się specyficzne **utwory** wyobraźni i umysłu, które zawierają mniej lub więcej usystematyzowane i silnie zabarwione emocjonalnie pojęcia, a szczególnie obrazy o idealnym, wymarzonym społeczeństwie, zbudowanym na podstawach zgodnych z rozumem, pojęciami o naturze i wymogami etyki. Te z tych utworów, które odpowiadają głębszym pragnieniom i dążeniom jakiejś całej klasy społecznej i które w wyobraźni przynajmniej zaspakajają istotne potrzeby i wypełniają zasadnicze braki w jej rzeczywistym życiu, stają się dla tej klasy tym, co Fouillée określił jako **idée - force**, tj. źródłem inspiracji i drogowskazem postępowania w labiryncie problematyki życia.

Rzecz sama jest tak stara jak dzieje rodu ludzkiego i dosłownie sięga Adama i Ewy. Ale nowe jest naukowe badanie genezy i roli historycznej takich tworów, jak zresztą w ogóle wszystkiego, co się tyczy życia i rozwoju społeczeństw. Jednym z pierwszych, który zwrócił na nie uwagę i zapoczątkował ich analizę, był Jerzy Sorel, teoretyk syndykalizmu; on to nadał im niezwykle trafną nazwę -- mitów społecznych.

Można bez przesady powiedzieć, że sprawa mitów społecznych będzie stanowiła jeden z najbardziej fundamentalnych problemów socjologii i psychologii społecznej. Jak dotąd jednak mity czekają wciąż jeszcze na umiejętnego badacza. Są one najbardziej trwałymi i najbardziej rozpowszechnionymi wytworami umysłu ludzkiego. Pokolenia przekazują je pokoleniom. Powstając bowiem z reguły jako płód autora, którego życie i twórczość jest znana, mity uniezależniają się od swego twórcy i stają się dosłownie własnością duchową społeczeństwa. Żyjąc odtąd własnym życiem, przebywają kolejno okresy upadku i świetności, mniej lub więcej przystosowując się do zmienionych warunków życia. Żyją tak długo, jak klasa społeczna, która je wytworzyła, giną razem z nią, stając się martwymi, na pół niezrozumiałymi i nieprawdopodobnymi legendami.

W świadomości narodów europejskich, zgodnie z ich strukturą gospodarczo-społeczną, żyją ścierając się ze sobą dwa główne mity społeczne. Wskazać pobieżnie tylko, bez pretensji do wyczerpania tematu, ich genezę i rolę historyczną oraz niebezpieczeństwa, którymi zagrażają światu — jest zadaniem niniejszych uwag.

Jeden mit europejski — historycznie starszy, mniej niebezpieczny jako mający czasy świetności już za sobą — to mit społeczny elitaryzmu, wytwór ustroju feudalnego i społeczeństwa arystokratyczno - rodowego. Drugi — znacznie młodszy, bardziej żywotny i niebezpieczny — mit nacjonalizmu á outrance narodu i rasy wybranej jest produktem ustroju mieszczańskiego i społeczności burżuazyjno - demokratycznej. Omawiać będziemy inicjalne formy tych mitów, późniejsze bowiem ich modyfikacje i adaptacje historyczne niewiele zmieniły w ogólnym duchu tych form pierwotnych.

Pierwotną formą mitu elitaryzmu jest „Państwo" Platona. Najświetniejsze czasy tego mitu — to europejskie średniowiecze i pierwsze wieki czasów nowożytnych. Zarówno kościół jak świecki feudalizm czerpał z niego natchnienie dla swych idei i praktyk polityczno - społecznych, czyniąc to mniej lub więcej świadomie, mniej lub więcej bezpośrednio. Kościelny podział społeczeństwa na rządzących kapłanów i rządzonych laików i średniowieczna teoria społeczno - polityczna o trzech stanach — wywodzą się w prostej linii z tego mitu. Ale i w naszym współczesnym życiu politycznym wszelkie poczynania, zmierzające do usunięcia szerszych mas z życia politycznego, są nieustannie powtarzającą się, często świadomą, próbą zrealizowania platońskiego mitu elitaryzmu. Przyzna nam to każdy torys angielski, każdy bourgeois francuski, wszem wobec głosił to nasz reżym „majowy". W Stanach Zjednoczonych odżył on w nowej wielko - kapitalistycznej postaci, jako „trust mózgów", mający decydować o losach kraju i świata. Mit Platona, jak wogóle całą jego metafizykę idealistyczną, zwykła ujmować filozofia sub **specie aeternitatis**, czysto logicznie i w oderwaniu od wszelkiej rzeczywistości gospodarczo - społecznej. Tak abstrakcyjnie ujmowany, urósł [illegible] społeczeństwa do wieczystej prawdy powszechnie obowiązującej, bez względu na czas i przestrzeń. Ale naprawdę mit platoński wyrósł z pewnej określonej i całkiem konkretnej (wcale nie abstrakcyjnej...) rzeczywistości gospodarczo - społecznej i kulturalno - umysłowej, mianowicie państwa - miasta Aten wieku V przed Chr. Co najważniejsza jednak — już wtedy był wsteczny w stosunku do owej rzeczywistości i nawet za inny uchodzić nie chciał! Rzućmyż okiem na Ateny owych zamierzchłych czasów.

Małe Ateny przechodziły wówczas gruntowny przełom gospodarczo - społeczny, przeobrażały się mianowicie w szybkim tempie ze społeczeństwa rodowo - szlacheckiego i ziemiańskiego w demokrację mieszczańską, której główną bazą gospodarczą były rzemiosła i handel. Nasze współczesne sandały, zarówno gdy idzie o rzecz, jak o nazwę, wynaleźli ówcześni Ateńczycy i zaopatrywali w nie nie tylko inne państwa - miasta greckie, ale w ogóle mieszkańców basenu śródziemno-morskiego. Produkowali też i sprzedawali tkaniny wełniane i wyroby garncarskie, tłoczyli i wywozili wino i oliwę, zasypywali ówczesny nieduży — jak na nasze dzisiejsze przyzwyczajenia — świat swoją twórczością w dziedzinie sztuki stosowanej, zarówno przedmiotami użytku powszedniego, jak ozdobnymi bibelotami. Mieli ponadto w swym ręku morski handel przewozowy.

Ateńczycy więc V wieku zaczęli podróżować, dorabiać się dużych fortun i pracować, co było istotnie jednym z największych w historii przewrotów społecznych. Dawni bowiem „dobrze urodzeni" Ateńczycy uważali wszelką pracę za hańbę, którą zwalało się na niewolników, a częściowo na kobiety. „Dobrze urodzeni" zajmowali się tylko rządami w państwie i filozofowaniem, a w razie potrzeby byli „stróżami" istniejącego ładu i stanu posiadania. Ktokolwiek zajmował się pracą zarobkową — ten był „banausos" tzn. gminny, wulgarny. I oto ten gmin posiadł główne bogactwa kraju, a wzbogaciwszy się i dorobiwszy kultury umysłowej nie tylko wyrywał „dobrze urodzonym" władztwo polityczne, ale narzucał im swoje poglądy i zwyczaje oraz ogólny styl życia. Wedle tradycji Platona arystokrata, wybierając się do Egiptu dla poznania tamtejszej kultury, musiał — rzecz niesłychana — wziąć ze sobą w drogę pewną ilość oliwy, aby ją tam „opylić", inaczej bowiem nie miałby z czego żyć w podróży. Można sobie wyobrazić, że „dobrze urodzonemu" Platonowi nie łatwo przyszło konkurować w handlu oliwą z „banausami" egipskimi. Otóż deklasowaniu się towarzyszy zawsze ta sama pogarda dla nowej rzeczywistości i tęsknota za dawnymi dobrymi czasami, w których było lepiej. Z tego idealizującego zapatrzenia się w przeszłość i z takich elegijnych nastrojów zrodziła się metafizyka Platona wogóle i jego mit państwa elitarnego w szczególności.

Aleksander Świętochowski napisał w r. 1910 książkę pt. „Utopie w rozwoju historycznym", w której stale odżegnywa się od materializmu dziejowego, ale nie będąc obarczony tradycjami akademickiej filozofii tak trafnie charakteryzuje platoński mit elitaryzmu społecznego, że warto jego poglądy przypomnieć*). „Pomimo innych pozorów", pisze on, „[illegible] wbrew błędnym wykładom jego teorii, opartym na nieporozumieniu albo niezrozumieniu. Plato wytwarza organizację życia, którą ono albo już porzuciło albo włoczyć się w nią nie da, która jest albo przeżytkiem, albo formą sztuczną. Chociaż ciągle powtarza, że celem państwa ma być wyrobienie cnoty w obywatelach i zapewnienie im szczęścia, przedstawia ono w jego planie systemat gwałtów, przenikających do najdrobniejszych tętn życia, wielkie koszary, w których przebywają zdrowi, fizycznie wyćwiczeni, duchowo zmechanizowani od pracy i myśli odzwyczajeni obrońcy ojczyzny. Piękny, waleczny, karny żołnierz jest dla niego ideałem człowieka. Jego „stróże" nie są arystokracją, nie są wyborem jednostek umysłowo i cieleśnie najdoskonalszych, lecz dorodną gwardią, która ma głowy napełnione oczyszczonym olejem urzędowo skontrolowanej wiedzy, nic nie robi i o tym tylko pamięta, ażeby nie objawiać osobistej woli. Jest to znamienne, że Plato, który nadaje najwyższą wagę poznaniu, upatruje największą potęgę w mądrości, czyni filozofów prawodawcami i powierza im rządy państwa, nie ich przymioty chce utrwalać w potomstwie, lecz zalety zdrowych, dzielnych, ładnych samców i samic. Ten rzekomy „arystokrata ducha" uszlachetnia rasę ludzką tak, jak hodowca uszlachetnia końską, nie chodzi mu o to, żeby źrebięta były rozumne, lecz żeby posiadały mocną budowę, piękne kształty i szybkość biegu. W jego państwie moralnym jest tych moralności, ile w zarodowej stajni lub psiarni... Trudno było by w dziejach znaleźć większe nieporozumienie i nieprawdziwszą bajkę, niż sława Platona z tego tytułu... Nazwano Platona komunistą, przeciwnikiem własności prywatnej i rodziny. To już po prostu plotka historyczna! Krąży ona zwykle bez wyjaśnienia, że Plato usunął ze swej reformy wszystkie warstwy pracujące, lud, rzemieślników, kupców, artystów, słowem, całe pospólstwo (banausia), które pozostawił w tradycyjnych formach życia ze zwykłymi stosunkami posiadania dóbr i małżeństw. Znosząc własność prywatną i wprowadzając wspólność kobiet w jednej klasie społecznej, nie czynił tego przez demokratyzm radykalny, do którego uczuwał zawsze wstręt, lecz dla zapewnienia wygód życia swym wybrańcom „stróżom". Na co im własność, jeśli cała masa pracująca zaspakaja wszystkie wymagania? Na co im żony i rodziny, które męczyłyby ich nudą i obciążały obowiązkami? Czyż nie lepiej dostać co rok świeżą, piękną kobietę, która da wiele przyjemności, a żadnego kłopotu, gdyż nie potrzeba jej nawet utrzymywać, a jeżeli będzie miała dziecko, zaopiekuje się nim przytułek. Nie podobna wyobrazić sobie weselszego „komunizmu" i „socjalizmu". Popełnilibyśmy niesprawiedliwość, przykładając do jego utopii miarę dzisiejszą, ale właśnie oceniona historycznie wykazuje ona uwstecznienie rozwoju pojęć i stosunków społecznych".

Tak to proste umieszczenie Platońskiego mitu o państwie elitarnym tam, gdzie on genetycznie i historycznie należy, w realnym środowisku gospodarczo - społecznym Aten V wieku przed Chr., ujawnia wiele rzeczy, o których nie śniło się nawet filozofom. Jakże jednak się stać mogło, że mit ten urósł do rozmiarów boskiego niemal objawienia i absolutnej prawdy? Postarały się o to liczne generacje europejskiej szlachty feudalnej, które w tym micie znajdowały wyraz dla swych najczulszych marzeń i najsilniejszych dążeń. **Habent sua fata libelli.**

Przejdźmy teraz do mitu mieszczaństwa. Mit narodu wybranego powstał, jak wiadomo, w starożytności żydowskiej, ale został zmodernizowany pseudobiologicznie przez dyplomatę Napoleona III, Józefa Gobineau, w książce pt. „O nierówności ras ludzkich". Nie jest rzeczą przypadku, że Gobineau układał swoją książkę w tym samym czasie, w którym Karol Marx pracował nad „Kapitałem". Oba te dzieła wyrosły z krytycznego położenia, w jakim znalazło się mieszczaństwo po wiekach świetnego rozwoju: komuna paryska była jego pierwszym dobitnym mane tekel fares. Ale podczas gdy Marx rozmyślał nad przyszłością społeczeństw europejskich, Gobineau dumał melancholijnie nad ich przeszłością. Podczas gdy „Kapitał" był dziełem intelektu i ogromnej erudycji, „Nierówność ras ludzkich" była fantazją dystyngowanego dyletanta. Znana jest powszechnie zarówno sama naczelna teza tej fantazji, jak jej absolutna fałszywość z punktu widzenia nauki i w świetle pospolitego doświadczenia. We Francji, kraju o wiekowych tradycjach intelektualnych — fantazja ta się nie przyjęła, tym bardziej, że mieszczaństwo francuskie po aferze Dreyfusa, zakrzepłe i ustabilizowane, przestało się rozwijać. A nie ma nic groźniejszego dla jakiejś klasy społecznej, jak jej rozwój, prowadzi bowiem niechybnie do jej zagłady; taka jest dialektyka dziejów.

W Niemczech było właśnie inaczej. Tam mieszczaństwo rozwijało się w iście amerykańskim tempie, a po traktacie Wersalskim nawet bezpośrednio pod wpływem i przy pomocy Ameryki. Wiadomo jaka była wytyczna polityki reparacyjnej Stanów Zjednoczonych wobec Rzeszy po pierwszej wojnie światowej; aby umożliwić Niemcom spłacenie odszkodowań wojennych podług planów Younga i Dawesa zasilały je ogromnymi pożyczkami na odnowienie i udoskonalenie ich sprzętu pr[illegible]

*) Str. 19 i in.

mysłowego. Wiadomo również, że Niemcy swoje warsztaty pracy odnowiły, prześcignąwszy w tym nawet częściowo przemysł amerykański, ale odszkodowań nie zapłaciły. W rezultacie nadzwyczaj daleko posuniętej racjonalizacji i modernizacji narzędzi i metod pracy — miliony robotników niemieckich znalazły się bez zajęcia, tam bowiem gdzie dawniej trzeba było zatrudnić kilku robotników fabrycznych, teraz wystarczał jeden.

Ale nie od tego bezrobotnego proletariatu przyszła katastrofa Europy; był on przyzwyczajony do bezrobocia w ustroju kapitalistycznej produkcji. Nieszczęście przyszło skądinąd. Oto w wyniku modernizacji całego gospodarstwa narodowego nastąpiła w Niemczech nieznana przed tem koncentracja handlu wewnętrznego. Zmonopolizowało go w swych rękach kilku potentatów (żydowskiego pochodzenia: Wertheim, Tietz, Israel), którzy siecią swych magazynów towarowych pokryli cały kraj. Magazyny te sprzedawały taniej i lepiej, aniżeli średnie lub drobne sklepy. Pozwalała im na to właśnie mechanizacja i organizacja naukowa wszystkich manipulacji handlowych. Rezultat był taki, że po kilku latach cały niemal średni i drobny handel niemiecki „leżał". Bankructwa były na porządku dziennym, a likwidacja samodzielnych przedsiębiorstw handlowych odbywała się w tempie błyskawicznym. Sprawdzała się na odcinku handlu teza Marxa o koncentracji. Upadek mieszczaństwa średniego i drobnego, zagrażający w dalekiej przyszłości, stał się faktem dokonanym. Zdeklasowanych mieszczan zasilali dość liczni rentierzy, których sytuacja stawała się krytyczna z powodu spadku papierów wartościowych i wywołanej przez ustawę o ochronie lokatorów nierentowności kamienic.

W środowiskach tych zdeklasowanych mieszczan mit rasy wybranej znalazł świetny grunt do rozwoju. Został on przeflancowany około 1905 r. z Francji do Niemiec przez Houstena Chamberlaina, zniemczałego Anglika. Mitowi Gobineau'a nadał on nową postać, przystosowaną do niemieckiej mentalności i specjalnych warunków [illegible]szych, w swej pseudonaukowej książce pt. „Podstawy kultury wieku XIX". Mit ten odrazu został w Niemczech przyjęty entuzjastycznie. Sprzyjała mu tradycyjna skłonność do mistycyzmu, zwłaszcza, że wszechwładna w Rzeszy kasta militarna wyczuła w nim nową, zmodernizowaną postać mitu elitaryzmu, którą wyznawała w teorii i praktyce społeczno - politycznej. Dawał on także nowe uzasadnienie właściwemu od wieków tej kaście Drang nach Osten, zgodnie z jej zaborczymi życzeniami i dążeniami, oświetlając w nowy sposób wzajemny stosunek Germanów i Słowian w zakresie twórczości kulturalnej.

Głównym jego propagatorem stał się jeszcze w czasie I wojny światowej, Ludendorf. Czasy jego świetności nastały jednak dopiero po zawarciu traktatu wersalskiego. Alfred Rosenberg wtedy jeszcze raz przerobił fantazję Gobineau i Chamberlaina i puścił ją w obieg już zupełnie świadomie jako mit, w książce pt. „Mit wieku XX".

Dawał on zdeklasowanym mieszczanom to, co w tym momencie historycznym było im najbardziej potrzebne: rekompensatę wyobraźni za braki w rzeczywistości, nadzieję bliskiego lepszego jutra i... uzasadnienie gigantycznych militarnych przygotowań do walki o zapanowanie nad światem. Jakkolwiek bowiem program tzw. narodowo - socjalistycznej partii zapowiadał natychmiastową likwidację domów towarowych i decentralizację handlu wewnętrznego, rzeczywistość okazała się silniejsza — domy towarowe zostały, a skończyło się tylko na ich tzw. „zarysowaniu". Aby więc znaleźć możność zatrudnienia znajdujących się na bruku kupców, buchalterów, sprzedawców i biuralistów, trzeba było zdobyć pół świata, zamieniając go w kolonie lub rynki zbytu dla towarów niemieckich a zdeklasowanych mieszczan awansując na „fuehrerów" ras niższych, kulturalnie nietwórczych. Autentyczną wykładnią mitu stał się „Mein Kampf" i wogóle enuncjacje Hitlera. Wykonawcy jego — partia narodowo - socjalistyczna i jej militarne i paramilitarne gwardie, znanymi brutalnymi środkami terorystycznymi prostowały ścieżki dla nowej wiary tam, gdzie nie było dla niej dużej chęci lub zainteresowania. W skali międzynarodowej stał się ten mit spiskiem przeciwko światu „an open conspiracy", jak mówią paradoksalnie Anglicy. Wszystko inne — bez precedensu w historii — co się stało w krajach zdobytych i okupowanych było już tylko prostą konsekwencją mitu, głoszącego, że wszystkie rasy poza „aryjsko - germańską" — są niższym gatunkiem podludzi.

Oczywiście geneza i rola mitu rasy wybranej nie wyczerpuje całokształtu zagadnienia niemieckiego. Ale zadaniem niniejszych uwag była próba syntetycznego ujęcia jednego tylko aspektu tego zagadnienia i zresztą nie najmniej ważnego. Celem zaś tych uwag jest wskazać na niebezpieczeństwo, grożące kulturze ze strony mitów w ogóle, a pewnych mitów w szczególności.

Oba bowiem wyżej przedstawione naczelne mity społeczne żyją mniej lub więcej skrycie w świadomości wszystkich społeczeństw europejskich. Podbudową ich jest struktura gospodarczo - społeczna tych społeczeństw. Mity czasowo pogrążone w letargu, jak bakcyle śmiercionośne, czekają na swój czas, gdy znajdzie się odpowiednia pożywka, sprzyjająca ich bujności. Jakkolwiek współczesne nauki o społeczeństwie nie posiadają takiego upowszechnienia, na jakie zasługują, to jednak świadomość niebezpieczeństwa pewnych mitów dociera nawet do dyplomacji, na ogół nie cieszącej się dobrą sławą, jeżeli chodzi o znajomość życia grup społecznych i narodów. Zainicjowała ona bowiem ostatnio gorliwe badania losu Hitlera, uważając za konieczne nie dopuścić do powstania legendy (raczej mitu) o żyjącym i działającym w ukryciu „Fuehrerze". Jest to oczywiście tylko drobny środeczek. Istotne zagadnienie polegać musi na obmyśleniu całego systemu środków do zwalczania mitów niebezpiecznych i mitów w ogóle. Mity bowiem są archaicznym przeżytkiem w życiu nowoczesnych społeczeństw, które pragną i coraz lepiej, miejmy nadzieję, będą umiały racjonalnie planować, budować i naprawiać swoje formy życia. Mówiło się, że religia jest opium dla ludzi, mity są czymś znacznie gorszym — są one jego haszyszem. Jeżeli dozowanie opium w granicach wskazanych przez medycynę bywa czasami rzeczą konieczną, to nałóg haszyszu musi być bezwzględnie zwalczany.

Bardzo skutecznym środkiem pozostanie zawsze upowszechnienie kultury umysłowej w ogóle, a nauki o społeczeństwie w szczególności. Mitowi społecznemu odpowiada magia w stosunku do zjawisk przyrody. Jeżeli sobie uprzytomnimy, jaką rolę odgrywała magia czarnoksięska w okresach kultury prymitywnej i jak dalece została już dzisiaj wyrugowana z naszej europejskiej cywilizacji, nabierzemy wiary w możliwość ograniczenia wpływów i zasięgu mitu społecznego. Jeszcze bardziej skutecznym środkiem może być profilaktyka społeczna w szerokim znaczeniu słowa, nie dopuszczająca do powstania zapowietrzonego klimatu kulturalnego, który stwarza warunki, sprzyjające rozwojowi epidemii mitu.

Zapewne, nasza władza nad dynamiką życia społecznego nie jest jeszcze tak duża, jakbyśmy pragnęli. Ale nikt dzisiaj nie uznaje niezmiennych „praw natury", rządzących rzekomo tym życiem, jak to zakładał np. Dawid Ricardo w dziedzinie ekonomii. Nie uznajemy dzisiaj niezmiennych praw, nawet w zjawiskach przyrody. Niewątpliwie, coraz lepiej umiemy korzystać z sił przyrody i nie widzimy dlaczego miało by być inaczej w dziedzinie zjawisk społecznych. Pogłębienie nauk społecznych, ulepszenie ich metod i wzbogacenie ich wyników, umożliwi nam coraz lepsze korzystanie z sił społecznych w myśl pewnego racjonalnego, naukowo opracowanego planu. Dalszym więc środkiem zwalczania mitu powinno, jak sądzimy, być szerzenie przekonania o możności świadomego racjonalnego życia społecznego. Należy zwalczać bardzo rozpowszechnione mniemanie, że w życiu społecznym pewne objawy są nieuniknione, „bo tak było i tak zawsze będzie". Jest to bowiem absolutny i szkodliwy fałsz, zarówno jeżeli chodzi o narzędzia metody produkcji, jak instytucje i styl życia. I nie jest prawdą, że zmiany w tych dziedzinach muszą przechodzić poza świadomością społeczeństw i ponad ich głowami, jako żywioł nieopanowany.

(Ciąg dalszy na str. 3)

LOUIS ARAGON — *przełożył ADAM WAŻYK*

Wiersze

Louis Aragon.

Ballada o tym co śpiewał na miejscu kaźni

Jeśli mam zacząć od nowa
Zacznę wysiłkiem nie mniejszym
Głos się podnosi w okowach
I mówi o dniu jutrzejszym

Podobno w celi tej nocy
Dwaj jacyś ludzie szeptali
Ustąp Poddaj się przemocy
Nie starczy sił tak żyć dalej

Żyć mógłbyś mógłbyś szeptali
Żyć mógłbyś jak nam żyć dano
Jedno cię słowo ocali
Żyć mógłbyś zgiąwszy kolano

Jeśli mam zacząć od nowa
Zacznę wysiłkiem nie mniejszym
Głos co się wznosi w okowach
Wybiega ku dniom jutrzejszym

Wymów słowo dla wolności
Słowo drzwi celi wyłamie
Jedno słowo Kat się złości
Skończ z tą udręką Sezamie

Jedno słowo wiarołomne
Byleby odwrócić losy
Wspomnij wspomnij wspomnij wspomnij
O słodyczy rannej rosy

Jeśli mam zacząć od nowa
Zacznę wysiłkiem nie mniejszym
Głos co się wznosi w okowach
Mówi to ludziom jutrzejszym

Gadałem wszystko co trzeba
Czy kto jak król Henryk czwarty
Konia za państwo nie sprzeda
Czy Paryż mszy nie jest wart

Nic z tego Odchotlizą kaci
Sam swojej krwi będzie winien
Miał jedną kartę i stracił
Niech ten sprawiedliwy ginie

Jeśli mam zacząć na nowo
Zacznę wysiłkiem nie mniejszym
Głos co się wznosi w okowach
Mówi Zacznę w dniu jutrzejszym

Umieram Francja nie zginie
To miłość moja i dom
I za co krew ze mnie spłynie
Wam przyjaciele wiadomo

Do celi po niego przyszli
Po niemiecku przez tłumacza
Pytają czy się rozmyśli
On spokojnie na nich patrzał

Jeśli mam zacząć na nowo
Zacznę wysiłkiem nie mniejszym
Pod waszą kolbą stalową
Co śpiewa o dniu jutrzejszym

Sam pod kulami plutonu
Śpiewał p o d n i e ś l i ś m y k r w a w y
Dopiero go wykończono
Komendą powtórnej salwy

Inna piosenka francuska
Za Marsylianką w pościg
Wybiegła na jego usta
Dośpiewać ją dla ludzkości

Wiersz ku czci Gabriela Peri

„La Diane Francaise" (1942—1944)

Lekarz z Villeneuve

Tutaj w krainie nieprzychylnych okien
Szloch nie przeniknie w nocy zbyt głębokiej
Przez mur ogrodów czy serc głuchą szparę
Wszystko z kamienia i wszystko nad miarę
Tutaj w krainie nieprzychylnych okien

W załomie dachów księżyc się sadowi
Gwiazd średniowiecze mruga księżycowi
Zewsząd się mnoży mur wieżyc i wieżyc
W studni dziedzińca jeden promyk leży
W załomie dachów księżyc się sadowi

Tu kardynalski pokój dla człowieka
Rzęsą okiennic purpura przecieka
Ganek zmówiony piekło co nie płonie
Kapelusz zbutwiał na zdobnym balkonie
Tu kardynalski pokój dla człowieka

Sen ludzki w zbroję ogromną się zmienia
Niebo ma wreszcie barwę zapomnienia
Pamięć jak rój któremu lotu ujął
Ci którzy śnią nieruchomo wędrują
Sen ludzki w zbroję ogromną się zmienia

Kto stuka do drzwi śród zacichłej nocy
Wiatr co się zerwał jest wiatrem przemocy
Nad miastem stada latających smoków
Polują na tych co kryją się w mroku
Kto stuka do drzwi śród zacichłej nocy

Otwórz mi dom swój doktorze doktorze
Aż dech odzyskam w głowie myśl ułożę
Otwórz niech wejdę i daj mi schronienie
Sam je na laskę wygnania zamienię
Otwórz mi dom swój doktorze doktorze

Bóg nie przyjmuje już do stóp ołtarza
Tych którym człowiek śmiertelnie zagraża
Diabeł wiodący królewskich żołnierzy
Do znaku krzyża kły w uśmiechu szczerzy
Bóg nie przyjmuje już do stóp ołtarza

Ta która czuje że nadeszła chwila
Biegnie półnaga z okien się wychyla
I woła w północ Kochany mój żegnaj
Śmierć pije której lękiem nie odegna
Ta która czuje że nadeszła chwila

Po okolicy rozbiegli się inni
I lęk podąża za nimi do winnic
Zbyli się ciepła kołder w popielisku
Śpiące maleństwa unoszą w uścisku
Po okolicy rozbiegli się inni

Otwórz mi dom swój ocal mnie doktorze
Potwór mnie gnał aż na twoje przedproże
Jak miły wieczór był przy winie powiedz
Ty co szczęśliwie spoczywasz w alkowie
Otwórz mi dom swój ocal mnie doktorze

Na drugim piętrze ktoś ognia nakrzesał
Światło wyrywa ze snu widma krzeseł
Ruch się w pokoju uczynił ogromny
Mamrocze we śnie dzieciak nieprzytomny
Na drugim piętrze ktoś ognia nakrzesał

Na ciemnym wzgórzu o mosiężnych sosnach
Ażeby ciemność się w dramat rozrosła
Ptak śpiewa głośno jak w wierszach Petrarki
Jak żłobi sztycharz swe miłosne skargi
Na ciemnym wzgórzu o mosiężnych sosnach

Ten tren żałobny w inny tren się zmienia
O złym powietrzu innego cierpienia
Nie o miłości lecz krwawej boleści
Stare zwierciadło zmartwychwstałej treści
Ten tren żałobny w inny tren się zmienia

Czas pastorałek przeminął nam wczoraj
Czas mijający upiększa potwora
Gniewna wichura i kamień rozgniecie
Inny jest turoń na każde stulecie
Czas pastorałek przeminął nam wczoraj

Tutaj w krainie nieprzychylnych okien
Szloch nie przeniknie w nocy zbyt głębokiej
Przez mur ogrodów czy serc głuchą szparę
Wszystko z kamienia i wszystko nad miarę
Tutaj w krainie nieprzychylnych okien

„En Francais dans le texte"

(1941 — 1942)

Niebezpieczne mity

(Ciąg dalszy ze str. 2)

Na zakończenie tych uwag należy jeszcze przypomnieć specjalny rodzaj mitów — apokaliptyczno - eschatologicznych o bliskim końcu świata. Prototypem tego mitu jest powstały na wschodzie u Babilończyków i Żydów mit o potopie. Nieco nowszą jego postacią jest wizja apokaliptyczna ewangelisty św. Jana. Geneza społeczna takiego mitu jest jasna. Mit elitaryzmu i narodu wybranego są transcendentne w stosunku do danej rzeczywistości społecznej, w tym sensie, że zachowują się krytycznie i negatywnie wobec niej, starają się wyjść poza nią i nadać biegowi dziejów kierunek wsteczny. Natomiast mit eschatologiczny powstaje w środowisku społecznym, niewidzącym przed sobą przyszłości, to znaczy w takich społeczeństwach, w których upadek klasy rządzącej jest równoznaczny z upadkiem państwa, tej najwyższej formy organizacyjnej społeczeństwa. Takim jest mit apokaliptyczny, i nie jest to przypadkiem, że jego twórcą był Grek żyjący w IV wieku, gdy imperium rzymskie zbliżało się szybko do upadku pod wpływem najazdów plemion germańskich. We wczesnym średniowieczu mit ten na kilka wieków znikł. Zmartwychwstał on na krótko w połowie X wieku jako mit o millenium. Pod wpływem szturmów Madziarów, tworzenia się państw słowiańskich na wschodzie oraz potęgi kalifatu arabskiego na południu w Hiszpanii — imperium mundi chrześcijaństwa zachwiało się w swych obu filarach — w papiestwie i cesarstwie, które podówczas dzieliły między siebie władzę polityczną. Pod wpływem tych wypadków i towarzyszących im nastrojów powstał mit głoszący, że w r. 1000 nastąpi koniec świata. Pod wpływem tego oto mitu Otto I odwiedził Bolesława Chrobrego i odbył pielgrzymkę do grobu św. Wojciecha. Otóż jest rzeczą charakterystyczną, że mit końca świata odżywa za naszych czasów w nowej, i jak się należy, naukowej formie. Oto niektórzy fizycy obdarzeni większą aniżeli trzeba do ścisłych badań przyrodniczych wyobraźnią, obliczyli na podstawie tzw. praw termodynamicznych, że kosmos zbliża się do stanu równowagi cieplnej. A ponieważ życie jest możliwe tylko wtedy, gdy takiej równowagi nie ma, więc stąd prosty wniosek, że koniec świata jest nieunikniony. Na szczęście mitem tym mało przejmują się zarówno sami uczeni, jak zwyczajni obywatele, gdyż astrofizycy zwykli operować liczbami i datami astronomicznymi. Oddziaływanie społeczne więc tego mitu nie jest groźne, nie ma obawy, aby ktoś z naszej generacji pod wpływem tych mitycznych prognoz eschatologicznych pogrążył się w melancholijną rozpacz lub bodaj w bierny kwietyzm.

Bardziej niebezpieczny w swych skutkach socjalnych może się okazać mit prawie wczoraj powstały i w naszych oczach się tworzący — mit bomby atomowej. Wedle coraz bardziej rozpowszechniającej się wersji może ona zamienić w proszek nasz nędzny padół ziemski, który Voltaire jednakże określił jako „najlepszy ze światów możliwych". Mitem tym posługuje się już nawet dyplomacja, jak zwykle, strasząc i obiecując. Koło tego mitu zaczynają krążyć jak koło złowróżbnej komety — wszystkie jednostki i warstwy społeczne, których nadzieje zostały zawiedzione w wyniku drugiej wojny światowej. Marzą dalej — bo cóż innego im zostaje w smutnej dla nich rzeczywistości, — marzą o bombie atomowej, która dzięki swej niesłychanej energii odwróci koło historii. Jakkolwiek w pierwszym rzędzie winno nas niepokoić pytanie, dla jakich celów to nowe źródło energii zostanie użyte, to nie wolno nam również zapominać, że mit o bombie atomowej może się w pewnych warunkach społeczno - politycznych stać straszniejszym w niszczycielskich skutkach dla kultury aniżeli sama bomba.

St. A. Majewski

ZOFIA NAŁKOWSKA

Medaliony

Kobieta cmentarna

Droga do cmentarza prowadzi przez miasto pod tamtym murem. Wszystkie okna i balkony — dawniej pełne uwięzionych, stłoczonych ludzi, wyglądających na świat zza muru — są dziś bezludne. W przejeździe już od dawna widać na jakimś drugim piętrze to samo okno, zawsze otwarte, a za nim obwisły gzyms z poczerniałą firanką, suchy kwiat w doniczce i też zawsze otwarte drzwiczki od taniego kredensu, stojącego pod ścianą pokoju.

Mijają miesiące i nikt nie podnosi gzymsu ani drzwiczek od kredensu nie zamyka.

Droga na cmentarz powoli z miejsca żywych zamienia się na miejsce umarłych. Ale objęte pustą architektoniczną ramą to miejsce jeszcze nie całkiem wyjęte jest z obrębu życia. Bo oto słychać i oto widać.

Ponad najświeższą młodziutką zielenią cmentarnych drzew czarnymi chmurami wstępują ku górze kłęby dymu. Czasami przeszywa je długi płomień, jak wąska, czerwona, szybko migocąca szarfa na wietrze. Ponad wszystkim idzie przez niebo dalekie mruczenie aeroplanów.

Mijają miesiące i to nie zmienia się, to trwa.

Zewsząd nadchodzą wiadomości o zgonach. Umarł P. w obozie, umarła K. na jakiejś małej stacji kolejowej, schwytana na ulicy i wywieziona. Ludzie giną na wszelkie sposoby, wedle wszelkich kluczów, pod każdym pretekstem. Wydaje się, że nie żyją już wszyscy, że nie ma się przy czym upierać, nie ma przy czym obstawać. Tyle jest wszędzie tej śmierci. W podziemiach kaplic cmentarnych trumny stoją rzędami i oczekują niejako w ogonku na czas swego pogrzebu. Śmierć zwyczajna, *osobista*, wobec ogromu śmierci zbiorowej, wydaje się czymś niewłaściwym. Ale rzeczą bardziej wstydliwą jest żyć.

Nic z dawnego świata nie jest prawdziwe, nic nie zostało. Ludziom dane jest przeżywać rzeczy niejako ponad stan. Przerażenie staje pomiędzy nimi i odgradza ich od siebie. Jeden dla drugiego o każdej chwili staje się sposobnością do śmierci.

Rzeczywistość jest do wytrzymania, gdyż nie cała dana jest w doświadczeniu. Albo dana niejednocześnie. Dociera do nas w ułamkach zdarzeń, w strzępach relacji, w echach wystrzałów, w dalekich dymach, rozpływających się po niebie, w pożarach, o których historia mówi, że „obracają w perzynę", chociaż nikt nie rozumie tych słów. Ta rzeczywistość daleka i zarazem rozgrywająca się o ścianę, nie jest prawdziwa. Dopiero myśl o niej usiłuje pozbierać ją, unieruchomić i zrozumieć.

Idziemy jeszcze raz cmentarną aleją. Odbywa się teraz uroczysty raut wiosenny umarłych. Umarłych dawno już i śmiercią zwyczajną.

Mówią tylko swoje imię i nazwisko, mówią datę, rzadziej przypominają zawód swój i godności. Niekiedy w przejściu proszą półgłosem o Westchnienie do Boga. Jest to niewiele. Są tam zawsze na tych samych miejscach i mówią wciąż to samo, odzywają się powściągliwie, skrępowani swoim konwenansem. Chcą tak zupełnie mało, nie narzucają się, nie zobowiązują nas do niczego. Zaledwie przypominają się pamięci, wystarcza im odrobina uwagi.

Zachęty dodaje niekiedy ktoś z najbliższej rodziny — niejako wprowadza i zarazem ośmiela. Jakaś bezimienna żona z dziećmi, kładąca mężowi tę pamiątkę, mówi kamiennym szeptem, że był najlepszy. Jakaś córka, ze swej strony od dawna już nie żyjąca, ślubuje zielonymi od mchu literami przywiązanie najukochańczej matce.

Ten jeden grób jest bez krzyża. Na cokole brązowego pomnika wypisane niezrozumiałe dziś słowa: **„...patrząc z wysokiego stanowiska ewolucji w nieskończoną otchłań przeszłości, dostrzegamy tam nie rozpaczliwe mroki wiecznej śmierci, lecz żywiące blaski wiecznego i wciąż potężniejącego życia".**

Szpalerem umarłych nadciąga w tę stronę kobieta, pielęgnująca kwiaty na grobach. Ma w rękach emblematy swej godności: miotłę i polewaczkę. Polewaczkę ustawia na płaskim kamieniu przy studni żelaznej i pompuje do niej wodę.

Na tym miejscu, już bliskim ogrodzenia, cmentarz jest cały zatopiony zielenią, groby leżą, jak krótkie zagonki granatowych albo żółtych bratków. Kwitną i pachną konwalie, już za chwilę kwitnąć będą bzy. W powietrzu zielonym woła wilga, jak wołała każdej wiosny tam, przy domu dzieciństwa. Myszka polna chodzi drobniutko między bratkami, wspina się na ich łodygi, coś zjada.

Na ciszę rozwartego szeroko nieba ponad cmentarzem co kwadrans wypływa od strony lotniska powolny aeroplan i zakreślając łagodny półokrąg, odchodzi poza mury getta. Nie widać rzucanych w ciszy bomb. Ale śladami jego przelotu po dłuższej chwili podnoszą się długie, wąskie zwoje dymu. Później dają się też widzieć płomienie.

Kobieta cmentarna napełniła polewaczkę i odchodzi z nią w stronę kwiatów. Jest to ta sama, z którą rozmawia się tu niekiedy o rzeczach śmierci.

W czasach zgrozy przychodziłam na cmentarz jako na jedyne miejsce spokoju i bezpieczeństwa, jak do ogródka przy domu rodzinnym. Jak pod najpewniejszy o tamtym czasie adres.

Zachwiała i tą moją pewnością.

— Tutaj groby są lepsze, — mówiła wtedy. — Tutaj groby są lepsze, bo tu jest sucho. Tutaj ciało leży i nie psuje się, tylko się wysusza. Tam na dołku, gdzie jest mokro, miejsca są tańsze. Tam tylko dwie trumny jedna na drugiej mogą leżeć.

Miała usposobienie łagodne i czułe. Przy tym była kompetentna, mogła zawsze służyć radą, a nawet pociechą. Była pełna i biała, niczym nie przejmowała się zanadto, na wszystko mając wyrozumienie.

— A tu jest wyżej, — mówiła. — Tutaj jedną umarłą jak *wykopali*, to nic wcale nie była zmieniona. Mąż ją kazał wykopać. Była młoda kobieta i pochowana była w białej sukni. To i tę suknię miała na sobie całkiem białą. Jakby ją wczoraj pochowali.

Nie było zrozumiałe, czemu ją kazał wykopać. Wytłumaczyła to tak:

— Wykopał ją na sprawę, bo zaskarżył doktorów w szpitalu, że jej nie dopilnowali. Ona po urodzeniu pierwszego dziecka wyskoczyła przez okno i zabiła się na miejscu. I nie było nad nią jak się należy opieki. Więc ją wykopali i zawieźli do szpitala na sekcje. A później przywieźli ją z powrotem i pochowali. Ale już nie miała na sobie białej sukni, tylko niebieską.

Pochowali ją, ale też nie na długo. Nie minęło trzech miesięcy, jak znowu wyjmowali trumnę.

— Dlaczego?

— Dlatego, że ten mąż jej się powiesił i trzeba go było tutaj pochować. Pogłębili i wymurowali grób. I teraz tutaj leżą razem pochowani.

Jak właściwie skończyła się sprawa przeciw doktorom, nie wiadomo. Widocznie jednak nie zaspokoiła pretensji młodego małżonka, skoro ucieczki przed swym cierpieniem szukał w śmierci.

Później przyszedł czas, gdy na cmentarz spadały pociski. Posągi i medaliony potłuczone leżały wzdłuż alei. Groby z otwartymi wnętrzami ukazały w pękniętych trumnach swych umarłych.

Kobieta cmentarna wobec tej sprawy również zachowała wrodzony spokój. Teraz jednak, gdy znów wróciła po wodę, widać, jak jest zmieniona.

— Co pani jest? Czy pani chorowała?

Jej okrągła biała twarz zczerniała i schudła, czoło ma pomarszczone, jakby od ciągłego wysiłku, oczy błyszczą jak w gorączce.

— Nie, nic mi nie jest takiego — mówi pochmurnie. — Tylko, że ludzie wcale teraz tutaj nie mogą żyć.

Nawet jej głos jest niepewny, drżący i przyciszony.

— Mieszkania mamy wszyscy zaraz koło muru, to tam wszystko słychać, co się u tamtych dzieje. Już teraz każdy wie, co to jest. Do ludzi strzelają po ulicach. Palą ich w mieszkaniach. Po nocach krzyki takie i płacz. Nikt nie może ani spać ani jeść, nikt nie może wytrzymać. Czy to jest przyjemnie tego słuchać?

Rozejrzała się, jakby mogły ją słyszeć groby pustego cmentarza.

— To także przecież ludzie, więc ich człowiek żałuje — wyjaśniła. — Ale proszę pani, dla nas lepiej, jak ich Niemcy wyniszczą. Oni nas nienawidzą gorzej, niż Niemców...

Zdawała się urażona mymi słowami naiwnej perswazji.

— Jakto, kto mówił? Nikt nie potrzebował mówić. Sama wiem. I każdy pani powie to samo, kto ich zna. Że niechby tylko Niemcy wojnę przegrały, to Żydzi wezmą i nas wszystkich wymordują... Pani nie wierzy? Nawet same Niemcy to mówią. I radio też mówiło...

Wiedziała lepiej, do czegoś jej była potrzebna ta wiara.

Poprawiła polewaczkę na kamieniu przy studni i na nowo pompować zaczęła wodę. Gdy skończyła, podniosła głowę, jeszcze nadąsana. Zmarszczyła czoło i niespokojnie zamrugała oczami.

— Nie można wytrzymać, nie można wytrzymać — powtórzyła.

Trzęsącymi rękami zaczęła wycierać sobie twarz z łatwych łez.

— Najgorsze jest to, że dla nich nie ma żadnego ratunku — mówiła cicho, jakby wciąż bojąc się, że ktoś usłyszy. — Tych, którzy się bronią, oni zabijają na miejscu. A tych, co się nie bronią, wywożą samochodami tak samo na śmierć. Więc co oni mają robić? Podpalają ich w domach i nie dają im wyjść. To matki zawijają dzieci w co tam mają miękkiego, żeby ich mniej bolało, i wyrzucają z okna na bruk! A później wyskakują same... Niektóre skaczą z najmniejszym dzieckiem na rękach...

Podeszła bliżej.

— Z jednego miejsca od nas było widać, jak ojciec wyskakiwał z takim mniejszym chłopcem. Namawiał go, ale ten chłopiec się bał. Siedział już na oknie i jeszcze się łapał za ramę przed tym ojcem. I czy go ojciec zepchnął, czy jak, tego nie było widać. Ale oba razem, jeden za drugim spadli.

Znowu zapłakała i drżącymi rękoma wycierała twarz.

— I nawet jak tego nie widać, to my słyszymy. To słychać, tak, jakby coś miękkiego klapnęło. Plask, plask... Wciąż tak wyskakują, wolą wyskoczyć, niż się za życia spalić w ogniu...

Nasłuchiwała. W miękkim nawoływaniu się ptaków cmentarnych rozeznawała dalekie odgłosy ciał, upadających na kamienie. Dźwignęła polewaczkę i odeszła z nią w stronę żółtych i granatowych bratków na grobach. Niebem nadpływał nowy samolot od strony lotniska i wielkim zakolem zdążał ponad mury getta.

Rzeczywistość jest do zniesienia, gdyż jest nie cała wiadoma. Dociera do nas w ułamkach zdarzeń, w strzępach relacji. Wiemy o spokojnych pochodach ludzi, idących bez sprzeciwu na śmierć. O skokach w płomienie, o skokach w przepaść. Ale jesteśmy po tej stronie muru.

Kobieta cmentarna widziała to sama i słyszała. I dla niej jednak rzecz tak przeplotła się z komentarzem, że zatraciła swą rzeczywistość.

W poprzednim numerze „Kuźnicy" z dnia 31 grudnia 1945: Mieczysław Jastrun – Dwie współczesności „Dziadów" drezdeńskich. Juliusz Saloni – „Proroctwo" Mickiewicza. Celina Bobińska – Dekabryści. Artur Sandauer – Uwagi o Mickiewiczu. A. B. Dobrowolski – Co robić z Niemcami. Paweł Hertz – Szymanowski. Juliusz Żuławski – List – Walka z aniołem. Józef Stachowski – Poległym. Stefan Żółkiewski – Obrachunki nauczycielskie. II. Edward Szuster – Zrzut. Wanda Żółkiewska – Przy obrabiarce granatów. Tadeusz Kubik – List do przyjaciela z AL. Włodzimierz Michajłow – O potrzebach nauk biologicznych. Henryk Gotlib – Dwie kultury. Seweryn Pollak – Problemy inteligencji w ZSRR i u nas. Książka dla młodzieży – mj. Rozmaitości – Kłótnia o Mickiewicza – Adam Ważyk. Nowe tomy wierszy – „Lata powrotu" Leona Pasternaka – Ryszard Matuszewski. Wiersze Marii Castellani – Paweł Hertz. Noty. Przegląd prasy – p.h. Nowy balet Prokofiewa – lg.

TADEUSZ KUBIK

It's for you, Mr Hill!

Mr. Hill! Załóżmy rzecz niemożliwą. Niech pan sobie wyobrazi, że przez jakiś kaprys historii wszyscy Polacy postanawiają zmienić swój charakter narodowy i upodobnić się do was, Anglików. Stają się realistami w polityce i w życiu, likwidują u siebie wszelkie spory ideologiczne, zachowując dla pozoru kilka różnych szyldów, dobro swego państwa stawiają na pierwszym miejscu (riht or wrong — me country, wie Pan), stają się zgodni, pracowici przewidujący, wytrwali itd. Jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej wyzbywają się swoich wad, zaczynają pić whisky and soda zamiast polskiej wódki, entuzjazmują się sportem, zakładają się przed każdym meczem.

A wszystko fair, po angielsku. Stał się cud i Winston Churchill nie może powiedzieć o Polakach, że nie ma zalet, których by nie posiadali i błędów których by nie popełniali.

Oczywiście, nie chciałbym czynić żadnych dygresji i rozpatrywać kłopotliwej ewentualności że gdyby zmiana taka nastąpiła w 1939 roku, to kto wie, czy tacy Polacy przyjęliby waszą gwarancję i pierwsi nadstawiliby łba za wspólną sprawę.

Te rzeczy należą, rzecz jasna, do przeszłości i mówić o nich nie będę. Niech pan sobie wyobrazi, że taka zmianą nastąpiła w r. 1945 — Polacy stali się podobni do Anglików.

Czy wtedy bylibyście z nas zadowoleni, panowie Hill, King, Brown z Londynu, Glasgow, Birningham i Dover?

Czy wtedy wy, panowie korespondenci z „Times'a", „Daily Herald", „Economist" itd., pisalibyście w dalszym ciągu bzdury o siedemnastej republice, o ludziach, mrących z głodu, o przysłowiowych białych niedźwiedziach w Polsce, czy w dalszym ciągu prowadzilibyście kampanię przeciw naszej nowej granicy na Nissie, krzywdzącej dobrych Niemców?

Powiem szczerze: Myślę, że nie bylibyście zadowoleni i bzdury pisalibyście dalej.

Pan, mr. Hill traktuje nas, Polaków, tak, jak gdybyśmy byli narodem, który nigdy nie potrafi wyjść z wieku dziecinnego, jak niesforne, niemądre dziecko, które trzeba uczyć i karcić. Pan nie chce tego widzieć, że z bolesnych nauczek, jakich nam nie skąpiły dzieje przez całe stulecia, wyciągnęliśmy późno, ale nie za późno, odpowiednie wnioski. Pan nie chce widzieć, że wytężamy wszystkie siły, by dogonić inne narody Europy.

Może Panu wygodniej patrzeć na Polaków przez okulary sędziów z Paderborn?

W takim razie zbędne byłyby moje dalsze wywody, ale przecież Pan jest człowiekiem uczciwym, demokratą, o głęboko zakorzenionym w sercu humanitaryźmie i Pan tylko przez nieświadomość, prawdopodobnie i przez kult dla „balance of power" wygłasza, krzywdzące Polskę sądy.

A propos „balance of power" (równowaga sił), to wie Pan, mr. Hill, odnoszę wrażenie, że przy upartym dążeniu do realizacji tej zasady może Pan popełnić gruby błąd, którego, może, wypadnie kiedyś żałować, bo może Pan łatwo przecenić chwilową przychylność potencjonalnych wrogów, a jeszcze łatwiej zbudzić nieufność wczorajszych przyjaciół. Dam Panu maleńki przykład: Powiedzmy, będzie Pan usiłował zmontować coś w rodzaju „bloku zachodniego". Wyobrażam sobie radość i satysfakcję generała Franco, którego trzeba by wziąć jednak pod uwagę w ewentualnym bloku zachodnim, wyobrażam sobie radość finansjery francuskiej, holenderskiej, włoskiej, no i nolens volens, — niemieckiej... Układne ukłony dyplomatów, czułe słówka kapitalistów i innych aktorów monachijskiej komedii mogłyby wywołać w Panu wrażenie, że taki „blok", to rzecz pewna i murowana.

Ale czy tak jest na pewno, mr. Hill?

Czy sądzi Pan, że „sprzymierzeniec" Franco, lub don Juan nawet, mógłby rozkazać wszystkim Hiszpanom wierzyć, że Gibraltar np. to ziemia rdzennie angielska, czy Pan nie sądzi, że patriotycznemu ludowi Francji mogą się nie spodziewanie znudzić konszachty i gierki obłudnych dyplomatów i chytrych kapitalistów, że Francuzi mogą sobie przypomnieć, że kanał Sueżki zbudowany został przez francuskiego inżyniera, nazwiskiem Lesseps. Czy Pan zapomniał, mr. Hill, że żelazna łapa niemiecka zaciskała się już dwa razy wokół wąskiej szyi kanału La Manche, łapa tych samych Niemców, którzy dziś pod niebiosa sławią „die Menschlichkeit und Klugheit des englischen Volkes"?

Mr Hill! Może nastać po utracie zaufania u wczorajszych przyjaciół „isolation" tak wspaniała, że w krytycznym momencie nie znajdzie się nawet 16.000 wiernych aż do śmierci lotników polskich.

Sądzę, że w czasach, gdy o pokoju i polityce chcą decydować miliony a nie dyplomatyczni kurierzy, „balance of power" to zasada przestarzała i tym samym, bezsensowna.

Co dotyczy pańskiej nieznajomości spraw polskich, to chcę wierzyć, że Pan nie ma złej woli, mr. Hill i dlatego pozwolę sobie przedstawić je tak, by Pan zrozumiał, że początkowe, parodoksalne założenie nie jest pozbawione pewnego sensu, aczkolwiek muszę otwarcie powiedzieć, że nie jestem pewien, czy wszyscy Polacy chcieliby swój narodowy charakter zamienić na angielski.

Nie ulega jednak wątpliwości, że macie dużo zalet, z których niejedną chcielibyśmy sobie przyswoić, a co więcej — przyswoiliśmy już.

Na przykład: realizm w polityce. Pan sobie przypomina, jaką bezsensowną drogą kroczyli nasi przedwojenni politycy. Polska, wciśnięta między dwóch gigantów, miała zachować, waszym wzorem, „splendid isolation" i prowadzić mocarstwową politykę „balance of power". Głupota takiej polityki była zrozumiała dla wielu, a przerażała zatroskanych o przyszłość państwa patriotów. Dziwne tylko, że wy, nasi przyjaciele, przyklaskiwaliście wtedy tej polityce i wmawialiście ograniczonym polskim politykom, że to jedyna droga słuszna i pożyteczna. A może niektórym z pańskich rodaków zależało na prowadzeniu takiej samobójczej polityki przez Polskę, na istnieniu takiego newralgicznego punktu w Europie, gdzie zawsze mógłby powstać jakiś zbrojny niepokój a z nim szansa przywrócenia chwiejącej się równowagi?

Duch Lloyd George'a był natchnieniem tych ludzi.

My, Polacy, zmądrzeliśmy teraz. Nie chcemy być „mocarstwem". Jesteśmy narodem stosunkowo małym, nasze gospodarstwo zniszczone jest przez wojnę bardziej nawet, niż wasze — chcemy tylko spokoju, spokoju i jeszcze raz spokoju. Potrzeba nam dużo, dużo lat, by odbudować kraj i dogonić inne narody pod względem cywilizacji i bogactwa. Doceniamy rzetelne wysiłki wszystkich ludzi dobrej woli w dziele utrwalania pokoju i możemy przyrzec całemu światu, że usilniej może od innych będziemy dla tej sprawy pracować. Ale niech Pan się nie dziwi, że jesteśmy trochę nieufni. W naszych oczach zdeptano, złamano tyle umów, przyrzeczeń i gwarancyj, że bierzemy w naszych rachubach możliwość jakiejś nowej agresji pod uwagę. A te wątpliwości nie opuszczą nas tak długo, póki będzie żył jeden Niemiec na świecie.

Dlatego, pomijając wszelkie inne istotne względy, słuchamy głosu naszego rozsądku, który mówi nam, że na wszelki wypadek lepiej jest mieć 180 milionów przyjaciół i 70 milionów wrogów, niż w osamotnieniu być narażonym na napad 70 milionów, dyszących zemstą Niemców i odgrywać ciągle rolę „przedmurza". Nie chcemy, by nam po raz drugi paleno Warszawę.

Cenimy honor, godność i bohaterstwo, ale zdrowemu rozsądkowi w naszej polityce zostawimy tyle miejsca, ile poświęcacie mu wy — Anglicy.

Teraz druga sprawa, mr. Hill. Jestem pewien, że Pan, jako Anglik czułby się głęboko poniżony, gdyby przez jakąś konieczność dziejową, 80% waszych fabryk, kopalń i majątków znalazło się w rękach Francuzów, Belgów, Niemców, czy Włochów itd. Odczułby Pan to, jako obelgę dla Anglii i uważałby Pan, że Anglia znajduje się w niewoli, tym bardziej, że z dnia na dzień widziałby Pan, jak się obniża pański standard życiowy. Dążyłby Pan, na pewno, by jak najszybciej pozbyć się intruzów, zwłaszcza, gdyby to byli tacy złodzieje i wyzyskiwacze, jak ci zagraniczni kapitaliści, którzy robili w Polsce majątki, ale grosza z tych majątków w Polsce nie zostawiali.

I my, kierując się zdrowym rozsądkiem, zamknęliśmy tym gangsterom gospodarstwa narodowego drogę powrotu do naszego kraju.

Chcemy być wreszcie dobrymi kupcami i za wartości ofiarowane chcemy otrzymywać równowartość od naszych partnerów handlowych. Oznacza to naszą gotowość do jak najdalej idącej współpracy handlowej z całym światem, oznacza to wyrzeczenie się wszelkich dążeń autarkicznych, bo rozumiemy, że to jest nonsens. Ale z drugiej strony nie dopuścimy, by za nasz węgiel, żelazo, drzewo przysyłano nam igły, perfumy i aparaty do golenia. Mamy najgłębsze, wewnętrzne przekonanie, że, zostawiając te olbrzymie sumy, które dawniej lokowano w bankach zagranicznych, w własnej kieszeni, podniesiemy powoli standard życiowy naszych obywateli do poziomu tych wszystkich narodów, które nieokradane przez własnych i obcych wyzyskiwaczy, bogaciły się bez przerwy. Zresztą, to nie tylko kwestia naszej wiary, ale, przede wszystkim, najprostszych obliczeń matematycznych.

Widzi Pan, przed wojną trudno było uczciwemu Polakowi bezstronnie powiedzieć, kto jest szkodliwszy dla kraju, czy zagraniczny kapitalista, wyzyskujący nasz kraj, czy polski magnat, który kraj, po prostu dewastował. Wy, Anglicy, nie znacie, w ogóle, tej kasty ludzi, jaką reprezentowali polscy posiadacze ziemscy. Wasz landlord, żeby być arystokratą od tysiąca lat, nigdy nie był tak zacofany i głupi, jak nasi hrabiowie i książęta, nie zawiózłby tyle funtów zagranicę w ciągu roku, ile nasi arystokraci w jednym miesiącu i przy zupełnym konserwatyźmie nie byłby taki odpychający, jak nasza zgraja głupców i egoistów, dla których kraj przez całe lata ich pobytu w Paryżu, Londynie i na Rivierach był tylko rogiem obfitości przysyłanych przez ich administratorów pieniędzy.

Pozbyliśmy się darmozjadów. Odebraliśmy im ziemię, którą nie umieli gospodarzyć. Ci, którzy dostali ją teraz, nie stali się przez to od razu bogaczami. Może niezupełnie dobrze przeprowadziliśmy reformę rolną, może nawet chwilowo więcej jest nędzy na wsi polskiej, niż było przed wojną, może nie wszyscy pracują na własnej ziemi tak, jak na pańskiej. Być może, że byli tacy, którzy ziemi brać nie chcieli. Trudno jest przyzwyczajonemu przez stulecia do chodzenia ze zgiętym grzbietem wyprostować się nagle i czuć się wolnym. Ale może Pan być pewien, że za rok czy dwa, gdy każdy z nich pozna różnicę między niewolą a wolnością od przymusu i nędzy, gdy przy pomocy rządu i robotnika zagospodaruje się wieś polska, wspominać będą nasi chłopi rok 1945, jak wy rok 1215.

Jak Pan widzi, wysiłki nasze poszły w kierunku zlikwidowania ucisku jednego człowieka przez drugiego. Bo dla nas człowiek stał się zagadnieniem centralnym. Ubyło nas w czasie wojny wiele, wiele milionów, wiele milonów żyło i żyje jeszcze w nędzy, ale żyje z wiarą, że będzie lepiej. To jest powodem przełamania w narodzie polskim, nabytego przez wieki bezwładu. Nawet najbardziej niechętni korespondenci stwierdzają, że Polaków cechuje niezwykła energia i zapał, a przecież słynęliśmy dotychczas ze swego lenistwa i nieporadności w pracy, ze swej lekkomyślności. To, co się dzieje teraz, rehabilituje nas w opinii świata. Życie, wrące na gruzach Warszawy, jest symbolem przemian w charakterze polskim, jest potwierdzeniem słusznego stosunku rządu do narodu. Energię potencjalną zmieniliśmy w dynamizm, który daje nam niespotykany w historii rozpęd w pracy.

Tak jest dobrze. I dlatego nie chcemy zmian. Dlatego, szanując naszego obywatela i człowieka, musimy stosować pewne ograniczenia dla uniknięcia powrotu złych czasów. Dla was, Anglików, te rzeczy są niezrozumiałe, bo od lat dziesiątków były wam niepotrzebne.

Niech Pan sobie uprzytomni, mr. Hill, że i my nie chcemy lordów „Hau-hau" i Amery'ch. Pozwólcie i nam z żelazną konsekwencją przeciwstawić się szkodnikom i zdrajcom.

Czy możecie nam zarzucić, że odepchnęliśmy wszystkich ludzi z dnia wczorajszego, że ograniczyliśmy się do sekciarskiego koła fanatyków? Czyż w naszym aparacie państwowym, na najwyższych nawet stanowiskach, nie ma ludzi, związanych w przeszłości z reżymem sanacyjnym?

Przyjęliśmy wszystkich, którzy chcą pracować dla kraju i przyjmować będziemy nadal.

Czyż nienaturalny jest fakt, że demokratyczne partie polskie dążą do jak najściślejszej współpracy w sytuacji, w której nie ma się o co kłócić, a wręcz przeciwnie, wszystkim powinien przyświecać jeden cel: odbudowa kraju?

Czy nie zagwarantowaliśmy wolności sumienia, wolności religii wszystkim naszym obywatelom, czy zabraniamy zrzeszać się ludziom dobrej woli, czy nie wydajemy olbrzymich sum na oświatę, zdrowotność i organizacje charytatywne?

Jeśli Pan jest człowiekiem uczciwym, mr. Hill, to na te wszystkie pytania musi Pan odpowiedzieć: Tak!

A jeżeli Pan odpowie — tak, to niech Pan przyzna, że wszystkie pańskie oszczerstwa i wrogie korespondencje podyktowane były nieświadomością rzeczy, niezrozumieniem szczególnej sytuacji, w jakiej znalazła się Polska.

Nie chcemy przypuszczać, że Pan i Pańscy koledzy sprzedaliście swoje sumienie za złoto tych, którym odebraliśmy możliwość wyzyskiwania nas. Wierzymy, że tak nie jest.

I dlatego, w przyszłości, za każdą waszą wrogą wypowiedź traktować będziemy was, jako wrogów Polski i demokracji, jako wypowiedź najmitów pieniądza.

JANUSZ GAŁADYK

Kto zapłaci Andersowi?

Już przekwitły „kasztany"*)

W czasie ostatniego pobytu ministra spraw zagranicznych Rzymowskiego w Londynie w czasie rokowań polsko-brytyjskich wywiązała się dyskusja na tle finansowym. W. Brytania, która sama dziś zabiega o pożyczkę w wysokości 4 — 5 miliardów, postawiła przez usta ministra Bevina twarde warunki w sprawie kilkunastu milionów, co do których powstała różnica zdań przy omawianiu kilkudziesięciomilionowego długu Polski wobec Anglii.

Nie jestem finansistą i nie pojmuję tak dobrze buchalteryjnych zawiłości, aby zrozumieć różnicę traktowania spraw tam, gdzie chodzi o miliardy i tam gdzie zaledwie o miliony. To jednak wiem dobrze, że odrodzona Polska nie zamierza prowadzić manipulacyj buchalteryjnych i walutowych, przyjmując w spuściźnie po nieudolnych poprzednikach zadłużenia zagraniczne. Nowa demokratyczna Polska musi się uczciwie i po prostu, po chłopsku liczyć z każdym groszem, albowiem swe zobowiązania płacić będzie nie w drodze rozrachunku, lecz kosztem pracy swych obywateli i kosztem zmniejszenia tempa odbudowy własnego kraju.

Z wiadomości, jakie posiadamy o przebiegu rokowań między ministrami Rzymowskim i Bevinem, stwierdzić możemy jako fakt, że Rząd J. N. zgadza się zwrócić W. Brytanii sumy przez nią wydatkowane na utrzymanie Raczkiewicza i Rosmarina, Arciszewskiego i Pająka, Folkierskiego i Luxemburga. Jasno z tego wynika, że wszystkie sumy, m. in. na opiekę społeczną, którymi dotąd gospodarują jeszcze w Palestynie polskie czynniki reakcyjne, są w rzeczywistości sumami, obciążającymi rachunki Rządu J. N. i Narodowego Banku Polskiego. Jasną jest także rzeczą, że te pieniądze są w rzeczywistości de jure i de facto pieniędzmi, które pochodzą z owoców pracy robotnika i chłopa polskiego.

Ten stan nie może jednak się przedłużać. Rząd Jedności Narodowej uznał za właściwe uregulować zaległości, ale według ustaw Rzeczypospolitej Polskiej nikt, nawet Rząd, nie ma prawa stale świadczyć dobrodziejstw opieki społecznej, (która jest przeznaczona tylko dla niezdolnych do pracy) — względem takich ludzi, którzy okazują wstręt do pożytecznej pracy, jak to czynią zbuntowani przeciw legalnym władzom R. P. uchodźcy w Palestynie.

Przykry los oczekuje emigrantów polskich zbuntowanych przeciw własnej ojczyźnie: rząd W. Brytanii nie chce ich utrzymywać. Zostaliby więc oni w położeniu niewypłacalnych dłużników, co, jak wiadomo, w Anglii jest bardzo źle widziane, gdyby rząd polski nie pokrył wydatków dotąd poniesionych na ten cel przez W. Brytanię. Ale wcale stąd nie wynika, że na przyszłość emigrant będzie się cieszył szczególnymi przywilejami opieki, o ile nie spełni wezwania do pracy. Emigranci nie będą pobierać zasiłków za swe bezrobocie, w czasie gdy każde kilkanaście funtów, wypłacone któremukolwiek z nich, stanowi uszczuplenie funduszów na szpitale, lekarstwa, szkoły, maszyny przemysłowe i rolnicze w odbudowującym się kraju. Ustanie, niebawem to dziwactwo, że emigrant, pobierający zasiłki z kas Narodowego Banku Polskiego i pędzący próżniacze życie, może z nienawiścią i pogardą rozsiewać wieści o głodzie i chorobach w kraju.

Najwyższy czas, żeby się nad tym dobrze zastanowił każdy krzykacz na emigracji.

Tak się przedstawia sprawa pokrycia długów, zaciągniętych na koszty utrzymania agend „rządu" emigracyjnego i na koszty opieki społecznej nad uchodźcami, a w tym na koszty zasiłków, wypłacanych otwartym wrogom Polski Demokratycznej. Rządy polski i brytyjski uzgodniły w tej sprawie swe stanowiska.

Inaczej wygląda zagadnienie wydatków wojskowych. Anglia chce tu się trzymać ścisłych formuł Lend Lease'u. Anglia zgadza się więc z tym, że Polska nie będzie płacić za pociski wystrzelone przez polskich artylerzystów pod Monte Cassino, ani np. za czołg rozbity przez Niemców, w którym zginął A. Bocheński, lecz Anglia chce zatrzymać u siebie tę broń, którą żołnierz polski walczył w II Korpusie, w I Dyw. Pancernej, w Bryg. Spadochronowej, chce zatrzymać sprzęt lotniczy i okręty, których używali polscy lotnicy i marynarze w bitwie o Anglię i o Atlantyk. Dalej: Anglia wprawdzie się zgadza nie żądać zwrotu pieniędzy za to, co żołnierz polski na obczyźnie zjadł, za namioty, w których mieszkał, za benzynę, którą przejeździł, ale Anglia żąda zwrotu sum, wydatkowanych na uposażenia, emerytury i renty.

Tak brzmi ogłoszony przez Reutera urzędowy komunikat brytyjski. Różnica zdań polega więc na tym, kto zapłacić ma za gaże pobrane przez gen. Andersa i za ubogie renty, które otrzymali inwalidzi z pól bitew, walcząc obok oddziałów brytyjskich i ramię w ramię z nimi. W tych warunkach zrozumiałe stają się słowa, wypowiedziane na konferencji prasowej w Londynie przez min. Rzymowskiego, że Związek Radziecki przez usta Generalissimusa Stalina uznał wszystkie rachunki pieniężne wojskowe za całkowicie spłacone przelaną krwią żołnierza polskiego. Min. Rzymowski wyraził przy tym nadzieję, że Anglia potraktuje te sprawy w taki sam sposób.

Dla mnie osobiście pogląd min. Rzymowskiego wydaje się zbyt uczuciowy. Skoro bowiem min. Bevin nie chce płacić rent inwalidzkich, to naturalnie, że powinniśmy, moim zdaniem, kosztem opóźnienia odbudowy kraju zapłacić ten rachunek krwi, o ile Izba Gmin przedtem nie zdezawuuje stanowiska min. Bevina.

Pozostają sprawy gaży gen. Andersa i jego orszaku. Skoro Anglia nie chce przyjąć tych gaż na swoje konto, to widać ma swoje powody, w które na razie nie możemy wnikać, i przyjąć musimy, że są one formalno-prawnego charakteru rozrachunkowego. Wprawdzie gen. Anders już przedtem dysponował w Związku Radzieckim sumą 100.000.000 rubli, które otrzymał jako pożyczkę na wypłatę uposażeń od Naczelnego Dowództwa Armii Czerwonej i z której rozliczeń dotąd nie znamy. Wprawdzie możemy przypuszczać, iż część owych 100 milionów nie została użyta na uposażenia, lecz została przez Szyszko-Bohusza, Okulickiego, Tyszkiewicza i innych zaufańców Andersa wywieziona do Iranu i zmieniona na czarnym rynku walutowym, aby posłużyć jako kapitał zakładowy dla dalszych spekulacyj „kasztanowych". Wprawdzie już ukazywały się w prasie angielskiej echa waluciarskich operacyj funduszami emigra

*) „Kasztan"—funt w złocie. Przedmiot spekulacji wielu wyżej i niżej postawionych wojskowych II Korpusu.

Kto zapłaci Andersowi

(Dokończenie ze str. 4-tej)

cyjnej intendentury polskiej. Ale to wszystko za pewne nie jest brane pod uwagę przez min. Bevina w chwili, gdy odmawia przyjęcia na swoje konto cash money, wypłaconych gen. Andersowi i jego świcie.

Tak czy owak, pod względem wojskowym umiejętnie czy lekkomyślnie, gen. Anders dowodził żołnierzem polskim na obczyźnie, żołnierzem, który przysporzył chwały orężowi polskiemu. Jeśli więc powstaje sprawa pokrycia rachunku za uposażenie wojska w okresie bitwy o Londyn, bitew pod Tobrukiem i Gazalą, pod Monte Cassino i nad rzeką Sangro, pod Falaise i pod Arnheimem, to jednak znowu trzeba moim zdaniem, — skoro tego Anglicy żądają — pokryć te rachunki.

Z gen. Andersem ma Polska grubsze rachunki, niż to obliczyć można w rublach, funtach szterlingów i „kasztanach". Osobiście sądzę, że należałoby jak najszybciej skończyć rokowania finansowe z W. Brytanią i przejąć całkowicie intendentury Wojska Polskiego na obczyźnie, aby przez to można było prędzej przystąpić do rozstrzygnięcia, kto ostatecznie ma zapłacić gen. Andersowi. Teraz bowiem nie można powiedzieć, że Anders może iść na obczyznę (Anders can go abroad), gdyż rachunki jego wzrastają z każdym dniem, ujawniają się coraz bardziej nici łączące go z NSZ i z DNE-em polskiej reakcji i te rachunki mogą być uregulowane tylko przez pozew przed oblicze Sądu Rzeczypospolitej Polskiej.

Na pytanie, kto zapłaci Andersowi, odpowiedź powinna brzmieć: Sąd zapłaci Andersowi. Ponieważ zaś w grę tu wchodzą nie tylko zbrodnie polityczne, ale, jak kontrola intendencka powinna wykazać, także przestępstwa pospolite, więc można mieć nadzieję, że choć ich w kraju brak — do rozprawy sądowej dojdzie.

Janusz Gaładyk

Palestyna, listopad 1945 r.

ROMAN WERFEL

Spór na temat bankructwa emigracji

W jednym z ostatnich numerów „Kuźnica" opublikowała pracę ob. W. Kuli „Z dziejów bankructw emigracyjnych". „Kuźnica" pragnie być bojowym organem polskiej myśli marksistowskiej. Artykuł wstępny „Kuźnicy" musi uchodzić dla przeciętnego czytelnika za głos, jeśli nie całości — to w każdym razie poważnego odłamu marksistów polskich. Dlatego wydaje mi się, że dobre imię marksizmu polskiego wymaga bliższego omówienia tego artykułu.

Oczywiście niemożliwym było by przeanalizowanie szczegółowe wszystkich, zawsze efektownych, a niekiedy nawet słusznych uwag ob. Kuli, wszystkich jego śmiałych, choć nie zawsze trafnych analogij. Ale nie jest to także potrzebne, bo nie takie czy inne szczegóły słuszne czy niesłuszne, nie takie czy inne dowcipne „apercu" decydują o fałszywości jego artykułu. Decyduje o nich zasadnicza postawa autora artykułu, zasadnicza postawa, dająca się sprowadzić do dwóch zasadniczych zagadnień.

Kula po pierwsze fałszywie stawia problem: emigracja — kraj, traktując „emigrację" **jako całość**, przeciwstawną „krajowi" **jako całości**.

Po drugie Kula fałszywie stawia sprawę realizmu polityki niepodległościowo-demokratycznej w Polsce, nie mierząc jej miarą marksisty.

Zanalizujmy każde z tych zagadnień z osobna. Nie każda emigracja jest zła. „Olbrzymia część twórczości kulturalnej, myśli społecznej i politycznej i in. dokonywała się zagranicą w oderwaniu od realnego życia kraju, pod wpływem aktualnych często z obcymi warunkami związanych idei społeczno-politycznych przy częstym zatraceniu poczucia rzeczywistości" — deklaruje autor już w pierwszym ustępie artykułu, poświęconego dziejom starych emigracji polskich 1792—1863. Czy każde słowo tego ustępu nie brzmi jak surowe potępienie emigracji — emigracji jako takiej? Autor wytacza po prostu proces emigracji — emigracji w całości, traktowanej jako zjawisko samo w sobie.

Nie chcemy być gołosłowni. Cytujemy dalej: „Poszli ludzie młodzi, przeważnie nie mający, poza słabymi wojskowymi, żadnych kwalifikacyj. Do tego garść polityków, urzędników, literatów, których kwalifikacje po przeflancowaniu na obcy grunt sprowadzały się do zera. **Wszyscy ci ludzie po prostu nie mieli co robić na obczyźnie. Pozostawało jedynie politykowanie**" — tyle autor umie powiedzieć o „Wielkiej emigracji", o tej emigracji, która zrodziła Towarzystwo Demokratyczne Polski i Gromadę Grudziąż, emigracji, z której wyrosła poezja Mickiewicza i Słowackiego, emigracji, której działacze otoczyli imię Polaka nimbem „żołnierza wolności"!

Cóż dziwnego, że w koncepcji autora emigracja w ogóle jest źródłem wszelkiego zła? „Emigrantom o tyle łatwiej było decydować się niż krajowi!. Drudzy emigranci, nazwijmy ich, demokraci spadkobiercy pokościuszkowskiej „Deputacji" zarzucali kraj hasłami, do których zrozumienia nie dorósł i w rewolucyjnym upojeniu podejmowali nieprzemyślane imprezy emisarjacko-powstańcze. Egzaltacja ta udzielała się krajowi.. Rzucano się na oślep głową w przepaść; emigranci, jak zawsze nie mieli nic do stracenia. A kraj zapłacił".

Co to wszystko znaczy?

Biorąc ściśle historycznie wydaje się, że autor pod słowem „kraj" rozumie po prostu zamożną szlachtę, zmierzającą do ugody z zaborcami, pod słowem zaś „emigracja" rozumie wszystkie prądy demokratyczne i wyzwoleńcze, które jej w tej ugodzie przeszkadzały.

Nie jest prawdą, że „kraj" był biernym narzędziem „emigracji". Każdy kto bodaj pobieżnie zapoznał się właśnie z okresem Wielkiej Emigracji wie, że — z pominięciem pierwszych lat, kiedy w ogóle granica między emigracją a krajem jeszcze się nie zatarła — „kraj" (to znaczy nie część szlachty, dorabiającej się na paskiewiczowskim „spokoju", lecz **obóz demokratyczny w kraju**) działał samodzielnie, nieraz narzucając swą wolę emigracji, która nie chciała iść tak daleko jak „kraj". Spisek Ściegiennego i Związek Plebejuszów powstały w kraju, Henryk Kamieński i Edward Dembowski działali w kraju, choć niekiedy na czas niezbyt długi udawali się na emigrację. Każdy, kto bodaj pobieżnie zapoznał się z tym okresem, wie także, że prawica emigracyjna, reprezentująca interesy tej samej zamożnej szlachty, która w kraju dążyła do ugody z zaborcami, daleka była od wszelkiej „egzaltacji", od wszelkich „emisarjacko-powstańczych imprez". Linia podziału nie przechodziła na Renie, oddzielającym względnie liberalną Francję i Anglię od mocarstw zaborczych, nie przechodziła między „krajem" a „emigracją". Przechodziła ona zarówno przez kraj, jak i przez emigrację (choć konkretne formy tego podziału były, tu i tam, nieco inne). Linię podziału stanowił stosunek do podstawowych zagadnień polityki narodowej, do walki o niepodległość, do uwłaszczenia chłopa, do zniesienia pańszczyzny. Linia podziału dzieliła obóz postępowy od obozu reakcji, dzieliła wewnątrz obozu elementy chwiejne i wahające się od elementów konsekwentnie demokratycznych. I inaczej nie mogło być. Nie sposób bowiem problem emigracji zbyć ogólnikową analizą składu społecznego tej emigracji, a tym bardziej specyficznych warunków emigracyjnego życia. Posiadają one, niewątpliwie, swe znaczenie. Każda emigracja posiada skłonność do pewnej egzaltacji, do pewnego wypaczania w tę lub inną stronę — realnego obrazu rzeczywistości, w jakiej żyje „kraj" (to znaczy podstawowa masa narodu), w każdej emigracji spotykamy tendencję do wyolbrzymiania drobnych, nieistotnych różnic dzielących od siebie poszczególne grupy emigracyjne. Każda emigracja jest wreszcie złem, niekiedy złem bardzo wielkim dla tych, którzy zmuszeni są iść na emigrację oraz dla ich rodzin, wykoleja ich, jest dla nich źródłem wszelkich trudności i cierpień życiowych. Ale wszystkie te momenty nie mają bynajmniej decydującego znaczenia dla oceny zasadniczej linii politycznej emigracji, dla oceny jej historycznego znaczenia.

Emigracja bowiem, to nie przeciwieństwo „kraju". Emigracja — to *część* „kraju". To część społeczeństwa „krajowego", część narodu, przeniesiona przez specyficzne warunki, przez jakiś szczególny zbieg okoliczności za granicę kraju. I tak jak w kraju są różne warstwy społeczne, różne kierunki polityczne, tak i na emigracji mogą się znaleźć różne żywioły reakcyjne lub postępowe, demokratyczne lub faszystowskie — w zależności od tego, jakie elementy składają się na tę emigrację, jakie elementy co najmniej przeważają na niej, polityka emigracji jest słuszna lub fałszywa, jest postępowa lub reakcyjna.

Kiedy Karol Marks po klęsce rewolucji 1848 roku udawał się na emigrację, aby tam opracowywać dalej podstawy ideologii i polityki nie tylko niemieckiego ale i międzynarodowego proletariatu, to była ta **dobra emigracja, słuszna** emigracja, postępowa emigracja. Kiedy Lenin po klęsce 1906 r. opuszczał kraj ojczysty, aby na obcej ziemi dalej pracować dla sprawy rewolucji rosyjskiej, budować i umacniać partię bolszewicką, ostry oręż tej rewolucji — to była to również **dobra, pożyteczna, postępowa emigracja**. Ale kiedy na pierwszych etapach Wielkiej Rewolucji Francuskiej, Francję opuszczała arystokracja dworska i bracia królewscy, burbońscy książęta, po to, aby u obcych dworów żebrać o pomoc przeciwko własnemu narodowi — to była to zła emigracja, **szkodliwa, reakcyjna** emigracja. Są to wszystko rzeczy, zdawało by się jasne i oczywiste. Jasne i oczywiste przede wszystkim dla marksisty. Jak w świetle tych jasnych i oczywistych (choć niestety zapomnianych przez ob. Kulę) prawd, wyglądają nasze emigracje z okresu rozbiorowego?

Ob. Kula w swym *akcie* oskarżenia przeciwko emigracji zarzuca jej jako błąd zasadniczy nierealność, nieodpowiedniość jej polityki, przeciwstawia jej rzekomo „rozumną" politykę w „kraju". „Emigranci", ludzie nie mający nic do stracenia, toczyli swoją wojnę z tymi rządami zaborczymi, a koszty tej wojny płacił kraj.(mówi o okresie poprzedzającym rok 1863.)

Podkreśliliśmy już niesłuszność przypisywania „emigracji" monopolu na tego rodzaju politykę. Szczególnie nonsensownym jest wyolbrzymianie roli emigracji w powstaniu styczniowym najbardziej spośród naszych powstań narodowych, wyrosłym z mas, z walki w „kraju". Ale teraz postawmy *pytanie* inne: czy rzeczywiście mamy tu do czynienia z tak karygodnym „brakiem *realizmu*"?

Istnieją w polityce dwa realizmy. Realizm pierwszy — to realizm perspektywy historycznej, realizm szerokich widnokręgów, realizm, opierający się na zrozumieniu najgłębszych sprężyn rzeczywistości. Realizm drugi — oczywiście, tylko realizm w cudzysłowie — to „realizm" bezpośredniej, namacalnej korzyści danej grupy ludzi, wyrażającej się w robieniu tego, co w danej chwili, na jak najkrótszym odcinku czasu, lepiej opłaca się tej grupie.

Kiedy świadomi robotnicy polscy w okresie przedwrześniowym szli do walki z sanacją, zsyłani byli do Berezy, skazywani na dziesiątki lat do więzienia, jeśli występowali raz po raz przeciw gubiącej kraj polityce sanacji, to kierował nimi właśnie ten pierwszy realizm, kierowało nimi zrozumienie głębokich procesów, zachodzących nie tylko w Polsce, ale i na całym świecie. Wiedzieli, że starcie pomiędzy faszyzmem a obozem wolności jest nieunik-

TERESA TYSZKIEWICZOWA

Historie o malarstwie smutne i wesołe

Czasy są ciężkie, powojenne, i na pewno wielu ludzi boryka się z losem i martwi się. Ale najbiedniejsi są malarze. Bo wiadomo, że w ciężkich czasach sztuka ludziom nie w głowie, że ważniejszy bochenek chleba i ciepła odzież od obrazu, zwłaszcza gdy obrazu nie ma gdzie powiesić.

„Nasze malarstwo — niepotrzebne nikomu" — skarżą się plastycy. „Wasze malarstwo jest nam niepotrzebne" powtarza dźwięcznym echem opinia. Artyści są wrażliwi, wiedzą o tym wszyscy, bardzo się przejmują i łatwo wierzą we wszystko co im się wmówi, więc muszą uwierzyć w końcu i w to, że są niepotrzebni.

Jeden z nich, młody, zdolny adept sztuki plastycznej miał niedawno dłuższe przemówienie: „Tak, malarstwo sztalugowe się kończy, jeszcze prawem ciężkości wegetuje, ale to ostatnie wysiłki. I jest ku temu logiczna podstawa; malarstwo nie jest potrzebne; dziś wielkie wydarzenia z dziejów ludzkości filmuje się, nie zamawia scen u plastyków, film odda je rzetelniej, obiektywniej, pewniej. Zbędnym jest przedstawienie ich na płótnie."

Takie wygłasza zdanie młody malarz, i po tych tragicznych refleksjach idzie zagruntować nowe płótno i maluje.

Biedni malarze! Chcą koniecznie uwierzyć, że nie są potrzebni, i usprawiedliwiają się, szukając powodów faktycznych. Poza tym groźnie i nieubłaganie podnosi się głos krytyków i fachowców od sztuki. Ci są najgroźniejsi, ci wysuwają stronę merytoryczną. I to jest jeszcze cięższe!

Jeden ze znanych krytyków utkwiwszy we mnie myślące oczy, świadczące o intensywności poszukiwań istoty i wartości sztuki, rzekł:

„Skończyło się malarstwo. Obraz współczesny nie może upiększać wnętrza. Nie nadaje się. Może tylko zepsuć ścianę, piękną gładką ścianę". — „A do czego nadają się dzisiejsze obrazy?" — pytam smutnie. „Z konieczności — malum necessarium — do urządzenia wystaw— nic więcej" — dokumentuje krytyk i bardzo mądrze patrzy. „Tak złe są te obrazy?" — pytam w rozpaczy. — „Bardzo brzydkie, proszę pani". — „Pan nie kocha sztuki! — wykrzyknęłam dziecinnie — bo w przeciwnym razie znalazłby Pan w wypowiedziach dzisiejszych malarzy coś coby Pana wzruszyło!" — „Przeciwnie — zanadto kocham sztukę, aby mnie wzruszyło" — stwierdził nieubłaganie i nie wiedziałem już czym mogłabym go przekonać.

Malum necessarium — wystawy! Więc malarze biorą udział w wystawach. Cieszą się bardzo! Tyle lat nie wystawiali. Pokażą swój dorobek. Dorobek niepełny. Prace popaliły się i poginęły. Coś się uratowało, wymalowało nie w pracowniach, pracowni przeważnie nie było, często bez sztalug, w złym świetle, złymi farbami ale — wymalowało się.

Po wystawie, krytyka, bezapelacyjnie fachowa krytyka powiada:

„Nie ma malarstwa! Nie ma sztuki! Niezwiązane z życiem — złe! złe! złe!"

Malarze wiedzą, że są niepotrzebni. Ciężkie czasy, ważniejszy bochenek chleba i ciepła odzież od obrazu, no i filmują sceny historyczne. Na dobitek muszę się dowiedzieć, że fatalnie maluję. Że właściwie ich malarstwo nie istnieje. Są epigonami — nie ma talentów.

„Czy krytycy ci mają rację"? spytałam Felicjana Kowarskieyo.

„Każda krytyka mija się z prawdą" — odpowiedział. Nie mogłam dociec czy mówi serio czy żartuje. Zapytałam wzrokiem o wyjaśnienie.

„Bo prawda w sztuce jest tajemnicą" dokończył, i uwierzyłam mu bez zastrzeżeń.

Ale malarze martwią się i idą pić wódkę, i chcą koniecznie malować, koniecznie żyć ze sztuki. Nieszczęśliwi sztalugowcy, zazdroszczą grafikom. Ci mają rację bytu. Ilustratorzy na przykład, — zatrudnia ich „Czytelnik", a płaci!... Sztalugowcy próbują na gwałt zmienić się w ilustratorów. Ciężka sprawa. Zawodowcy sprawniejsi. Malarz może robić ilustrację, ale „tak jak malarz", oczywiście może dać „też" piękną ilustrację.

Jeden ze sztalugowców mozoli się w Krakowie nad plakatem. Przyjęli mu — dobry. Radość. „Byle pracować i żyć ze sztuki" — mówi — już niechta, że plakat. Ale sztuka-".

Wczujcie się, czytelnicy, w dolę sztalugowca! : niepotrzebny — fatalnie maluje — nie ma z czego żyć — a chce malować!

Trudno o farby, coraz trudniej skompletować paletę, pędzle, płótno lniane, jakież drogie! Do gruntu jajka! Jedyne jajka, jakie kupuje sztalugowiec. I na tym drogocennym gruncie zaczyna machać pędzlem z wiarą niezachwianą, że olśni świat!

Idzie taki plastyk zamawiać blejtram. Blejtramów dostarcza sklepik z obrazami przy ulicy Andrzeja. Obrazy tam takie co ludzie kupują — obrazy na temat, kwiatki bardzo ładnie wykończone, sarenki na śniegu. Wchodzą właśnie dwie panie kupować obraz na podarunek świąteczny. Plastyk obserwuje. Wybierająca dama ma podejście indywidualne: interesuje ją zdecydowanie, tylko format obrazu. „Ten widzisz — mówi do przyjaciółki — stanowczo za mały, ten za duży. A ten właśnie taki jaki chciałam — proszę o ten!"

Są jednak obrazy, które mają rację bytu! Byle nie duże. Nasze wnętrza są takie małe i ciasne!...

Pewien pan przynosi portret swego dziadka. Prosi o przycięcie o kilkanaście centymetrów ze wszystkich stron. „Biedny dziadzio — a to czemu?" — Widzi Pan — tłumaczy stolarzowi właściciel portretu — za duży do mojego mieszkania — nie pasuje".

„Obraz musi być niewielki" — dochodzi do świadomości plastyka, którego uczą, że ma być związany z rzeczywistością.

Niezwiązanie z rzeczywistością, to najgorszy zarzut czyniony malarzowi przez krytykę, przez władze, przez rząd! Gdzie tematyka wojenna? Gdzie ślad grozy okupacji?... Miliony pomordowanych, spalonych, skazanych... Malarze przeszli obok tego wszystkiego i nic nimi nie wstrząsnęło?

Każą, nawołują plastyków do odzwierciedlenia przeżyć — więc spróbowali odzwierciedlić i nie poszło, no wcale się nie udało, i krytyka huzia! na wystawę „Polonia", że to wcale nie to.

Ależ nie zmuszajcie plastyków. Im się bardzo nie chce malować tych obrazów z martyrologii polskiej. Rozumieją, że dziś ludziom do ozdobienia ich smutnych mieszkań nie można dać pełnych grozy scen wojennych, ale wesołe jasne motywy. Pewnie rozumieją to podświadomie, ale widać, że rozumieją.

Dajcie więc spokój. Nie stawiajcie im coraz to nowych postulatów, nie przesądzajcie ich przyszłości i przeszłości ich sztuki. Miejcie trochę cierpliwości, bo w końcu mogą jeszcze uwierzyć. A wtedy co?

Czerwienieje w głębi pracowni rozrzucona draperia. Na niej przyczaiły się okrągłe zimne owoce. Nieco wyżej stoi dzban gliniany.

Badawczo patrzy malarz w ten zaczarowany kąt. Dźwięczna harmonia, problem do rozwiązania. Całe piękno zaklęte w ustawionym modelu oparte jest na logice światła, barwy, zestawień i kontrastów.

Tak, kontrastów. To w tej chwili pasjonuje najbardziej twórcę. I ten moment będzie dominujący w jego wizji. Patrzy na ustawiony model, patrzy specjalnie, poprzez swoją wizję.

„Malarstwo francuskie z przełomu XX, to które tak wielbimy, — mówi do przyjaciela — ma znaczenie wielkiej rewolucji malarskiej właśnie dlatego że stworzyło wizję natury. Zdajesz sobie sprawę z wagi tego zagadnienia? Myślę, że malarstwo wcześniejsze nie znało wizji natury. Malowali świetnie to co widzieli, ale przecież to nie ma nic wspólnego z wizją. Dziś, my bez wizji natury nie możemy w ogóle malować".

Teraz patrzy na swoje płótno. Czerwone draperie dźwięczą — zielone owoce wtulają się w jej fałdy stwarzając koncepcję barwną, zestawioną cicho i wnikliwie. Każda plama, walorowa czy barwna jest wynikiem przemyślanego, czy świadomie wyczutego zestawienia z sąsiadującą. To są kontrasty barwy i światła. Cała maestria — wyciągnąć te kontrasty tak, aby zagrały i niepokoiły. — Oto malarz, który kocha swoją sztukę. I wierzy.

A teraz pracownia młodziutkiego artysty. Nie uczył się — przed wojną był dzieckiem. Co wie — pojął sam. Ma swoje credo artystyczne. Na ścianach reprodukcje Cezanne'a, Maneta, Rembrandta. Mówi z zapałem o Janie Cybisie. Zdumiewa dojrzałością malarską. Uporczywie badawczo studiuje naturę. I ten wierzy.

Mówię wam wszyscy niedowiarkowie, podsłuchujcie, a nie powiecie więcej, że nie ma malarstwa, choć dowodu namacalnego dla Was nie będzie: „bo prawda w sztuce — jest tajemnicą".

nione, i pracowali nad tym, aby w tym realnie nieuniknionym starciu miejsce Polski było na barykadach wolności, na barykadach zwycięstwa.

Ale kiedy ten czy inny działacz opozycyjny, mając dosyć walki, nie widząc rychłego zwycięstwa zaprzedawał się sanacji, szedł na łaskawy sanacyjny chleb, to kierował się on także swoistym, pewnego typu „realizmem". Tylko już nie tym historycznym realizmem, realizmem dalekowzrocznego polityka, lecz realizmem sprzedajnego oportunisty. Taki „realizm" właściwy jest nie tylko poszczególnym ludziom. Właściwy on jest również pewnym klasom społecznym — tym, które historia skazała już na zagładę. Meysztowicze, fundujący w Wilnie pomnik carycy Katarzyny, „Admiralińscy" w Reichstagu, uchwalający pancerniki dla Wilhelma, oto przykłady tego żłobowego „realizmu" polskich klas posiadających, w pogoni za własną, ciasnoklasową egoistyczną korzyścią, lekceważących interesy całego narodu.

Który realizm głosi nam ob. Kula? Cóż może być bardziej charakterystycznego dlań jak gromy rzucane na emigrancką „egzaltację", która w kraju rodziła wstręt do zwykłych poziomych „zajęć, osłabiając tym samym gospodarczy i kulturalny rozwój kraju". Czyli innymi słowami, powstania narodowe były głupstwem, trzeba było zakładać fabryki i udoskonalać uprawę dworskiej roli, (ewentualnie, przy sopsobności, ucząc jeszcze trochę alfabetu chłopskie dzieci). Jest to stanowisko obce obozowi demokratycznemu, obce przede wszystkim marksizmowi.

Powstania narodowe podług poglądów marksistowskich były nieuniknionym, niezbędnym etapem walki naszego narodu o niepodległość. Jeśli dlaczego poniosły one klęskę, to dlatego, bo były za mało realistyczne **w naszym marksowskim rozumieniu tego słowa,** za mało uświadamiały sobie rzeczywiste przesłanki zwycięstwa: konieczność uwolnienia chłopa, powołania pod broń całego narodu. Innymi słowy: **bo były za mało a nie zanadto rewolucyjne.**

Gdyby ob. Kula chciał kierować się realizmem naukowym, realizmem rzeczywistym, musiałby postawić pytanie: która pespektywa osiągnięcia niepodległości kraju była słuszna, z trzema — wszystkimi trzema — mocarstwami zaborczymi, czy też tak chwalona przezeń „praca gospodarcza i kulturalna"? Historia dała odpowiedź na te pytania: Polska odrodziła się dzięki klęsce trzech mocarstw zaborczych, naczelną wytyczną polityki niepodległościowej demokracji polskiej musiała być walka z tymi zaborcami (co oczywiście bynajmniej nie wykluczało równoczesnej pracy gospodarczej i kulturalnej).

Głębokie filisterstwo koncepcji zasadniczej ob. Kuli ujawnia się w każdym ustępie jego artykułu. Weźmy choćby jeden szczegół: oto co zarzuca ob. Kula kierownikom powstania listopadowego:

„Kraj zostawiono własnemu losowi. Ani rząd, ani sejm, ani żaden z wodzów naczelnych nie pomyślał o jakimś układzie, o zabezpieczeniu doli żołnierza, o ludności cywilnej. A w roku 1831 nie było już Stanisława Augusta, który w r. 1794 mógł podjąć się tych funkcyj..."

My marksiści zarzucamy rządowi powstańczemu z 1831 r., że nie wykorzystał wszystkich sił, jakie miał do dyspozycji i jakie pozwoliłyby mu **wygrać** powstanie, że nie zniósł pańszczyzny, że nie uwłaszczył chłopów, stwarzając przez to warunki pod ich masowy napływ w szeregi powstania. A co zarzuca mu ob. Kula? Że nie ukoronował swej chwiejnej polityki „jakimś układem" tj. mówiąc po prostu **jawną kapitulacją,** że po klęsce nie ucałował pokornie ręki Mikołaja, w trosce o „dolę żołnierza", o „ludność cywilną".

Trudno doprawdy o bardziej zasadniczą różnicę zdań. Przed wojną podobnie endecy atakowali ustami Giertycha („Duch dziejów Polski") i Dmowskiego nasze powstania jako dzieło Żydów i masonów. Tym razem ob. Kula o wszystko obwinia emigrantów: Mickiewicza i Lelewela, Jarosława Dąbrowskiego i Walerego Wróblewskiego.

Szukając przyczyn, które mogły ob. Kulę skierować na tak jaskrawe manowce, a redakcję „Kuźnicy" skłonić do wydrukowania jego artykułu, trafiamy na jedną tylko: oto ob. Kula pisał o jednej emigracji, a myślał o drugiej. Pisał o emigracji z okresu rozbioru, a myślał o obecnej emigracji londyńskiej. Tłumaczy to jego poślizgnięcie — chociaż bynajmniej go nie usprawiedliwia.

W istocie rzeczy — dzisiejsza emigracja w swej reakcyjnej kampanii, powołuje się chętnie na owe dawne emigracje z okresu rozbioru usiłując wyprowadzić swój rodowód z ich wielkich tradycyj. Ob. Kula pisząc swój artykuł, pisał akt oskarżenia przeciwko Raczkiewiczom i Andersom, ale jego błąd polega na tym, że uwierzył im na słowo, że oskarżając zamiast **nich,** zamiast **reakcyjnej** emigracji — — emigrację w **ogóle**, nadał im indygenat, na jaki bynajmniej nie zasługują. Dzisiejsza emigracja nie ma nic wspólnego z rzeczywiście wielkimi tradycjami dawnych emigracyj, z tradycjami legionów, tradycjami Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, tradycjami Gromady Grudziąż, tradycjami Jarosława Dąbrowskiego i Walerego Wróblewskiego.

Raczkiewicze i spółka są szkodliwi **nie dlatego,** że znajdują się na emigracji. Są szkodliwi, bo są awangardą **reakcji.** Chodzi o **linię ich polityki,** a nie o miejsce ich przebywania.

Nie oddamy reakcji wielkich tradycyj naszych emigrantów epoki rozbioru. Nie oddamy ich, bo tradycje wielkiej emigracji leżą u podstaw nowej, ludowej Polski, którą dziś budujemy. Bo dla tego budownictwa trzeba nam ich zapału, ich wiary w naród, wiary w lud, entuzjazmu i poświęcenia dla sprawy Polski i sprawy wolności. Myśmy z nich wyszli, my wykonujemy dziś ich testament.

Roman Werfel.

WITOLD KULA

Odpowiedź

Ciśnie mi się pod pióro zarzut, że ob. Werfel od początku do końca nie zrozumiał mojego artykułu. Zdaje sobie jednak sprawę, że zarzut taki kierowałby się w pierwszym rzędzie przeciwko mnie. Bo jakże to? Jeżeli inteligentny krytyk nie zrozumiał artykułu — to czyż nie jest to najlepszym dowodem, że artykuł był źle napisany? Próbuję więc odpowiadać inaczej.

Zacznijmy od drobiazgów.

Trudną jest rola komentatora własnego tekstu — niemniej jednak jestem do niej zmuszony, nie poczuwając się do wielu grzechów, przez ob. Werfla mi przypisywanych.

I tak np., gdy wskazuję na beznadziejność położenia osobistego, przeciętnego emigranta, pozbawionego na obczyźnie kwalifikacyj zawodowych i szukającego ucieczki i nadziei w politykowaniu — ob. Werfel wykrzykuje: „Tyle autor umie powiedzieć o Wielkiej Emigracji, o tej emigracji, która zrodziła... i td." Otóż może by autor i umiał nieco więcej o Wielkiej Emigracji powiedzieć, gdyby nie to, że 1) nie mówi o wszystkim, co się działo w omawianej epoce, lecz zbiera materiał, potrzebny do udowodnienia tezy, 2) nie powtarza faktów ogólnie znanych, lecz zwraca uwagę na niedoceniane, 3) patrzy nie od strony wybitnych jednostek, lecz szarego tłumu emigranckiego. Gdyby ob. Werfel nie uznał tych trzech argumentów — może wreszcie autor wskazać, że w swym zbyt obszernym artykule znalazł miejsce i na to, by podkreślić, że na emigracji dokonała się „olbrzymia część twórczości kulturalnej, myśli społecznej i politycznej" że zdanie to ob. Werfel zauważył, wynika chociażby z faktu, że je cytuje — w tym samym jednak momencie o nim zapomina, zyskując okazję do patetycznego wykrzyknika: „Tyle tylko autor umie powiedzieć o tej emigracji, która zrodziła..." Przyznaję, że wykrzyknik ten ma wszelkie szanse spotkania się z sympatią u dzisiejszego czytelnika — tylko czy nie jest to strzał w płot?

Podobnie poucza mnie ob. Werfel, że nie można emigracji traktować jako całości, że linia podziału przechodziła tak dobrze przez emigrację jak i przez społeczeństwo krajowe. Wywód ten zajmuje u niego dużo miejsca. A czyżby nie zauważył, że w artykule swoim przeprowadziłem na całej jego długości tę linię podziału, od pokościuszkowskich „Agencji" i „Deputacji" począwszy, a jaskrawo uwypukliłem to choćby w podtytuliku; Nie „Nurt" lecz dwa nurty? Czyż więc znowu nie strzał w płot?

Ostro przemawia do mnie ob. Werfel: „Nie jest prawdą, że kraj był biernym narzędziem emigracji" — gdy przecież ja starałem się wykazać jak często kraj zajmował odmienne niż emigracja stanowisko? To właśnie: rozejście się stanowisk między krajem a emigracją nazywam przecież „emigracyjnym bankructwem". Czarno na białym wyraził to jeden z emigrantów polistopadowych pisząc w 1864 roku: „Przez emigrację nie można dziś działać na kraj, bo emigracja znienawidzona w kraju". Temu właśnie, wynikającemu ze sprzeczności interesów rozejściu się stanowisk poświęcony był mój artykuł. Więc znowu strzał w płot.

Ale zostawmy na stronie przejawy tego, co można by nazwać daniem folgi dziennikarskiemu zapałowi polemicznemu. Przestańmy łapać ob. Werfla za słówka, na prawo i lewo słyszymy słuszne nawoływania, by w dziennikarstwie przywrócić słowu jego wagę. Przejdźmy do sprawy zasadniczej.

Czy można emigrację traktować jako całość i przeciwstawiać ją krajowi?

Ob. Werfel zdaje się stać na stanowisku, upraszczającym skomplikowaną strukturę nowoczesnego społeczeństwa. Zdaje się nieuznawać, że człowiek może być jednocześnie członkiem różnych grup społecznych, że społeczeństwa poprzecinane są różnymi, krzyżującymi się nieraz liniami antagonizmów. „Linia podziału nie przechodziła między emigracją a krajem, lecz przechodziła ona zarówno przez kraj jak i przez emigrację" — twierdzi ob. Werfel. Udowodniłem już, że o tej, zasadniczej, przecinającej kraj i emigrację linii podziału nie zapomniałem, przeciwnie uwypukliłem ją nawet specjalnie — lecz czy istnienie takiej linii podziału wyklucza już istnienie innych?

Badania socjologiczne nad współczesną emigracją zarobkową, która przecież również niejednolite ma oblicze klasowe i ideowe, pokazały nam wyraźnie, że poza tamtymi liniami podziału jest też i linia dzieląca „emigrację" od „kraju", że są pewne zjawiska i procesy wspólne dla różnych środowisk emigranckich. Wskazanie takich zjawisk na innym materiale było jednym z celów mojego artykułu, miało wprowadzić poprawkę do uproszczonego obrazu minionej rzeczywistości — a nawoływanie ob. Werfla do zapomnienia o innym, poza ideowym, (bo w tym wypadku nawet nie klasowym), kryterium podziału jest nawoływaniem do wulgaryzacji historii.

Twierdzenie ob. Werfla, że „emigracja to część społeczeństwa krajowego" wydawało mi się oczywistym. Do tego prostego twierdzenia usiłowałem jednak znów wprowadzić zasadniczą moim zdaniem poprawkę, wskazując, że w łonie emigracji jedne grupy społeczne lub ideowe silniej, a inne słabiej niż w kraju są reprezentowane. Poprawka ta moim zdaniem duże ma znaczenie. P. Werfel natomiast uważa, że w ten sposób problem emigracji „zbywam" „ogólnikową analizą jej składu społecznego". Nie jestem kompetentny, by stwierdzić, czy było to „zbycie" istotnego problemu i czy analiza rzeczywiście była zbyt „ogólnikową". Natomiast żadną miarą nie mogę się zgodzić ze stanowiskiem ob. Werfla, który zamiast tezy uzupełnionej moją, może drobną, lecz bądź co bądź istotną poprawką — proponuje powrót do prymitywizmu pozornie oczywistej tezy pierwotnej. To znowu jest wulgaryzacja historii.

Tezą ob. Werfla jest, że emigracja nie jest złem sama przez się, że dopiero od jej oblicza zależy, czy jest zjawiskiem szkodliwym, czy też pożytecznym. Otóż pisząc swój artykuł przypuszczałem, że wszyscy moi ewentualni czytelnicy stoją na takim, również pozornie oczywistym stanowisku i tezie tej przeciwstawiłem (nie jestem kompetentny, by stwierdzić, czy uczyniłem to dość wyraźnie) inną, chcąc zwrócić uwagę na zjawiska najczęściej niedoceniane: **w pewnych warunkach emigracja jest złem sama przez się, niezależnie od swego oblicza ideowego,** a mianowicie jest tak wtedy, gdy jest ona **masowa i długotrwała.**

Tezy tej ob. Werfel zdaje się nie zauważył, a w każdym razie jej nie podjął. Mówi on po prostu o czym innym niż ja mówiłem. Ob. Werfel, tezy mojej nie widząc, najpierw imputuje mi że „pod słowem emigracja rozumiem wszystkie prądy demokratyczne i wyzwoleńcze" — a następnie wykazuje absurdalność takiego stanowiska, wskazując na to, że prawica emigracyjna daleka była od „egzaltacji". Ze swym urojonym przeciwnikiem wygrał ob. Werfel łatwo. Płot otrzymał nowy postrzał.

Ja natomiast starałem się wykazać, że długotrwała emigracja stwarzała rozdział wewnątrz stronnictw. Uniemożliwiała porozumienie ludziom, którym zdawało się, że do jednego należą obozu. Na prawicy np. zaczyna się od Norwida, który martwi się, że „już przemilka jedno pokolenie", następnie Adam Czartoryski bezskutecznie wywiera presję na warszawskie Towarzystwo Rolnicze, by je skłonić do uchwały o oczynszowaniu chłopów — a kończy się na tym, że Władysław Czartoryski uznaje wybuch styczniowy, obejmuje kierowniczą rolę w powstańczej polityce zagranicznej i daje swemu obozowi hasło przystąpienia do ruchu. Obojętne w tej chwili, że szło o to, by przejąć kierownictwo powstania z rąk czerwonych i sparaliżować ich tendencje społeczne — ważnym jest, że dla krajowej konserwy było to stanowisko nie do przyjęcia. Podobne różnice zachodziły i w łonie obozu demokratycznego.

Trudno mi z ob. Werflem dyskutować. Z reguły gdy powszechnie przyjęty pogląd uzupełniam poprawką mniej lub bardziej ważną, lecz bądź co bądź o jakiś krok zbliżającą teorię do prawdy — on woli ów pogląd pierwotniejszy, pozornie oczywisty. Z reguły też zwalcza on tezy, których nie stawiałem, a nie widzi tych, które starałem się udowodnić. Trudno mi z nim dyskutować, gdy on nie ze mną, lecz z urojonym przeciwnikiem dyskutuje.

Tak też właśnie rzecz się ma z zasadniczym stosunkiem ob. Werfla do mojego artykułu. Twierdzi on, że pisząc o tamtej, dawnej — myślałem o tej, obecnej emigracji. Nie mogę podjąć dyskusji na temat, o czym myślałem pisząc swój artykuł. Zwłaszcza, że w tej sprawie to już chyba ja jestem kompetentnym. Wysuwając jednak tę kwestię ob. Werfel postępuje chyba nieroztropnie. Przecież to ja twierdziłem, że tamci emigranci „łatwiej się decydowali". Ks. Czartoryski namawiał swego siostrzeńca Andrzeja Zamojskiego do przeforsowania w Towarzystwie Rolniczym uchwały choćby o oczynszowaniu — gdy emigranci dzisiejsi z reformą rolną, przeprowadzoną w kraju nie mogą się pogodzić; tamci podejmowali nieprzemyślane imprezy emisariacko-powstańcze — gdy ci usiłowali zmusić zrywający się do walki kraj, by stał „z bronią u nogi". A więc przeciwstawienie, raczej, niż analogia. Jest związek między dniem dzisiejszym a moim podejściem do tematu i jego ujęciem. Zainteresowanie problemem, zainteresowanie właśnie owymi „poprawkami" do uproszczonych twierdzeń o przeszłości, ma swoje źródło w rzeczywistości dnia dzisiejszego. Ale potraktowanie tego związku przez ob. Werfla — to jeszcze jedna wulgaryzacja zagadnienia.

Według ob. Werfla artykuł mój czytany był jako próbka materialistycznego ujęcia historii. Nie wiem, z jakimi ubocznymi myślami redakcja „Kuźnicy" artykuł mój wydrukowała — wiem natomiast, że w intencji swojej daleki byłem od tak ambitnych zamiarów. Zarzut więc ob. Werfla, że zamiaru tego nie spełniłem, we mnie nie trafia — znów strzał w płot.

A o marksizmie ob. Werfla czy ma świadczyć jego lekceważenie dla omawianego przeze mnie zagadnienia struktury klasowej emigracji?

Czy może jego lekceważenie dla tak ważnego według mnie zagadnienia wpływu środowiska społecznego, w jakim się emigranci znaleźli i wpływu zerwania kontaktu z ich środowiskiem w kraju?

Czy może niedopatrzenie na emigrację przez pryzmat osiągnięć wybitnych jednostek (była mowa o poezji Mickiewicza i Słowackiego) czy wyselekcjonowanych grup (kierownictwo Towarzystwa Demokratycznego Polskiego lub „gromady" Ludu Polskiego) — z zapoznaniem interesującej mnie doli i niedoli szarej masy emigranckiej?

Czy może wreszcie jego stosunek do powstań narodowych?

Tu mam ob. Werflowi do zarzucenia rzecz poważniejszą.

Zarzucając mi, że uważam „powstania narodowe za głupstwo" (znów urojony przeciwnik!) — pisze ob. Werfel: „Powstania narodowe były nieuniknionym, niezbędnym etapem.. i t. d." Otóż w tym ex cathedra wygłoszonym twierdzeniu mamy do czynienia ze zbyt grubym przeskokiem logicznym. Uważać coś za „niezbędny etap", a chwalić to — to wielka, bardzo wielka różnica. Według światopoglądu deterministycznego, a takim jest marksizm, właściwie wszystko co jest, jest niezbędnem, — lecz nie znaczy to bynajmniej, że wszystko jest pochwały godnem. Przy nielicznym proletariacie miejskim, przy słabym i ciemnym chłopstwie, przy silnej „inteligencji" (deklasująca się szlachta i awansujące społecznie jednostki spośród mieszczaństwa), jednym słowem w skutku zacofanej struktury społecznej, będącej wynikiem niskiego poziomu gospodarczego — rzeczywiście „niezbędne" były powstania narodowe, ich (będący najczęściej sprzecznością w założeniu) moment wybuchu, ich przebieg (z najczęstszym uchwyceniem kierownictwa przez ręce wrogie ruchowi), no i ich klęska. Lecz czyż znaczy to, że mamy pochwalać tych, którzy dali się odciągnąć od aktualnych dla mas społeczeństwa zagadnień (pańszczyzna) fikcją jedności narodowej? Toż to przecież ob. Werfel kiedyś o tym właśnie słusznie pisał. Lelewel wprowadzał w 1831 roku do sejmu obszarników kresowych po to, by ci torpedowali wszelkie, choćby z daleka o radykalizm społeczny zatrącające wnioski i zabijali powstanie. Ja nie myślałem o Raczkiewiczu, gdy pisałem o Czartoryskim, ale czy przypadkiem ob. Werfel nie myślał o wojnie z faszyzmem, gdy zżymał się na myśl o układzie, który by w 1831 roku zabezpieczył demobilizację armii? Słowa jego trafią na pewno do przekonania mającemu świeżo w pamięci wojnę z Hitlerem czytelnikowi — niemniej jednak pozwalam sobie uważać wyprowadzenie masy żołnierskiej do twierdz pruskich a masy oficerskiej na żebraczy chleb lub kondotierstwo do Francji, za czyn zbrodniczo nieodpowiedzialnej lekkomyślności. Fakt, że żołnierze, którym udało się wyrwać z twierdz pruskich założą później tylokrotnie przez ob. Werfla wzmiankowane gromady Ludu Polskiego nie zmniejsza karygodności winowajców. Mało tego. Fakt ten nie zmniejsza nawet strat poniesionych przez naród polski. Działalność Ludu Polskiego pozostała ciekawostką, dobrą dla postuletnich demokratycznych historyków — a czyż nie było by ważniejszym by te bądź co bądź przodownicze jednostki, ci chłopi z Gromady Grudziąż i ci niżsi oficerowie pokroju Deczyńskiego (nawet jeśli przyjmiemy, co prawdopodobne, że w warunkach krajowych nie wybiliby się oni na tak wysoki poziom) pozostali w kraju i umożliwili masom zabranie głosu w doniosłej chwili „Wiosny Ludów" lub stali się przywódcami ruchów chłopskich w latach 1861—2, które doprowadziły wieś Kongresówki do uwłaszczenia?

Nad czym pracują pisarze radzieccy

Tłumacz i poeta radziecki M. Łoziński ukończył przekład i opracowanie „Boskiej Komedii", „Piekło", „Czyściec" i „Raj". Obecnie Łoziński pracuje nad przekładami dramatów hiszpańskich. W Wydawnictwie dla dzieci („Dietgiz") ukaże się przekład „Tartuffa".

Anna Achmatowa wydaje w Państwowym Wydawnictwie Literackim („Goslitizdacie") wiersze wybrane 1909-1945. Poza tym Achmatowa przygotowuje do druku książkę o stylu Puszkina, napisaną w latach *1926-1936*, pracuje nad poematem „Tryptyk".

Leonid Rachmanow, autor „Niespokojnej starości", wystawionej niedawno w Łodzi, wydaje drukiem nową sztukę, która wkrótce będzie wystawiona. Bohaterem tej sztuki jest ten sam Timiriaziew, którego autor przedstawił jako profesora w „Niespokojnej starości". W nowej sztuce pokazana jest młodość Timiriaziewa i jego spotkanie z Darwinem. Sztuka ta zostanie wystawiona w Leningradzie. Jednocześnie Rachmanow pisze powieść poświęconą nauce: darwinizmowi, rozszczepieniu atomu i rewolucji rosyjskiej, która, zdaniem autora, stworzyła nową epokę w nauce.

Poeta ukraiński M. Rylski redaguje obecnie trzy wydania dzieł Mickiewicza, które ukażą się w języku rosyjskim i ukraińskim. Wspólnie z N. Uszakowym Rylski opracowuje nowe wydanie Szewczenki po rosyjsku.

lg

Tuwim po rosyjsku

W ostatnim numerze czasopisma „Leningrad" umieszczono przekłady wierszy Tuwima w tłumaczeniu Asiejewa. Nie są to pierwsze przekłady wierszy tego poety na język rosyjski. Poeci radzieccy pracują obecnie nad tłumaczeniem poetów polskich, m. in. Tuwima. Na Uralu w Swierdłowsku istnieje cała grupa młodych poetów, którzy z wielkim zainteresowaniem tłumaczą Tuwima. Na czele tej grupy stoi student Uniwersytetu Swierdłowskiego, uczestnik walk pod Charkowem, Jerzy Abyzow, który przetłumaczył „Łódź", „Lokomotywę", „Modlitwę", „Sokratesa tańczącego", „Piotra Płaksina", „Naukę", „Flecistę" i inne wiersze. Swierdłowska organizacja Związku Pisarzy Radzieckich poświęciła wierszom Tuwima kilka swoich zebrań literackich. Radio swierdłowskie nadało specjalną audycję, poświęconą poecie, a gazeta „Uralskij raboczij" przygotowuje specjalną kolumnę tuwimowską. Poza Tuwimem poeci uralscy przetłumaczyli Szenwalda „Balladę o pierwszym batalionie", Balińskiego „Kolędę warszawską 1939" i Broniewskiego „Co mi tam troski..."

lg

Rozmaitości

Prosty klucz

Wydawnictwa zaczęły się ruszać, wychodzą z tygodnia na tydzień powieści, zbiorki poetyckie. Poza publikacjami „Książki", inne książki są na ogół drogie. A jednak ukazują się w nakładach wielokroć wyższych, niż przed wojną i szybko się rozchodzą. Mógłby kto sądzić, że dzieje się tak na razie dlatego, że w sumie mamy tych nowych książek jeszcze niewiele. Zdaje się, że przyczyna jest inna. Krótko i węzłowato — sprawiła to reforma rolna. Reforma rolna i demokratyzacja życia. Wieś zaczęła czytać. Książka jest droga, więc chłop nie kupi egzemplarza na własność, ale nabędzie go wiejskie koło czytelnicze, świetlica samopomocy chłopskiej. Młodzież wiejska poczuła, że nadeszła chwila zasypania przepaści kulturalnej między sobą a miastem, między chłopstwem a warstwami oświeconymi.

Reforma rolna ustokrotniła bazę czytelniczą, dzisiejsza wieś chciałaby czytać wszystko, może tylko z wyjątkiem tych utworów literackich, które garstka inteligentów-chłopomanów stylizuje na gwarę chłopską. Podrośnie młoda inteligencja wiejska i za lat kilka część jej napłynie do miasta. Z tej młodej inteligencji i na wsi i w mieście wyjdą poeci, noweliści, powieściopisarze. Zjawią się nie w pojedynkę, jak to bywało w dawnych przedwojennych czasach, ale przyjdą ławą, — niech tylko oświata stanie się na prawdę powszechną. Będą pisali, bo znajdą o czym pisać. Jak każda nowa warstwa wniosą pewne nowe cechy, nieznane inteligencji szlacheckiej, czy drobnomieszczańskiej. Wniosą, bo wniosą i nie ma się o co kłopotać. Ci, którym sprawy kultury leżą na sercu, powinniby raczej zatroszczyć się o co innego. O to, aby nie było rozdarcia między kulturą literacką osiągniętą dotąd, a produkcją nowej generacji, między umiejętnością wczorajszą a jutrzejszą. Bo może być sztuka wytworem kultury szlacheckiej czy mieszczańskiej, ale ponadto jeszcze zawierać pewne doświadczenia artystyczne. Na tym doświadczeniu zasadza się ciągłość kultury każdego narodu i kulturalnej wspólnoty narodów cywilizowanych. Ale młoda kulturalnie warstwa nie może przyjąć tego doświadczenia automatycznie. Trzeba jej w tym pomóc.

Ot, tak pokrótce przedstawia się sprawa wyłożona elementarnie. Tylko, że doniosłość tej sprawy trzeba docenić zawczasu. Na temat jutrzejszego wkładu chłopstwa do literatury pięknej można pisać wiele i zawile, sens będą miały tylko rozważania uwzględniające ten nieuchronny proces historyczny, który zaczął się odbywać z chwilą przeprowadzenia reformy rolnej. Dlatego tygodnik „Wieś" zwrócił i zwraca na siebie uwagę. Był czas, kiedy na łamach tego tygodnika mitołodzy wsi popisywali się wiekopomnymi koncepcjami przyszłej kultury polskiej, ogłaszali sążniste dysertacje na temat odrębności czy wyższości kultury chłopskiej, odurzali się wyimaginowaną problematyką. Jeśli można sądzić po ostatnich numerach, to zdaje się jednak, że „Wieś" otrząsnęła się z tego czadu. Życie robi swoje—i polemiki także. A na stracone pozycje wkroczył „Chłopski Sztandar". W numerze 11 tego czasopisma ukazał się artykuł pt. „Kultura chłopska czy proletariacka". Jak sam tytuł wskazuje, rozważania obracają się w sferze czystego urojenia. Ktoś tam udaje, że prześladuje go upiór kultury proletariackiej, tej fikcji, dawno wyśmianej. Ułatwia to symulantowi przeciwstawianie chłopów robotnikom w nieuchwytnej sferze kulturalnej, w świecie niesprawdzalnych pojęć, skoro przeciwstawiać ich jawnie, na płaszczyźnie politycznej, nie wypada bez naruszenia podstawy dzisiejszej demokracji, sojuszu robotniczo-chłopskiego. Cóż, kiedy wilka ciągnie do lasu...

Tymczasem w świecie rzeczywistym dzieją się sprawy konkretne. Ankieta „Wsi" na temat gwary chłopskiej w literaturze przynosi rozumne odpowiedzi. I to już nieźle. Gwara zanika na wsi szybciej, niż w literaturze, co zresztą jest zrozumiałe. Przeciwko stylizacji chłopskiej w literaturze wystąpił na łamach „Odrodzenia" (nr 55) Julian Przyboś w obszernym artykule „W sprawach piśmiennictwa chłopskiego". Chętnie bym się zgodził z każdym poszczególnym wywodem tego artykułu, wydaje mi się jednak, że Przyboś nie uwzględnił w dostatecznej mierze masowego wytwarzania się inteligencji wiejskiej, która naturalną rzeczy koleją musi wejść do literatury. Nie pierwszy zresztą raz w ciągu tego roku przypominane zostały „Pamiętniki chłopów" jako wielkie osiągnięcia piśmiennictwa, cenione przez wielu literatów wyżej od beletrystycznej produkcji lat międzywojennych. Przyboś wytyka zespołowi „Wsi", że nie szuka obecnie podobnych materiałów, które są i dokumentami bytu chłopskiego i zarazem dziełami prawdziwego artyzmu prozy. Tygodnik „Wieś" miałby się czym pochwalić, gdyby takie materiały zdobył, to prawda, ale to wcale nie wyczerpuje zadań dzisiejszych, bo przecież udziału chłopstwa w piśmiennictwa przyszłość nie ograniczy do pamiętnikarstwa czy najświetniejszego reportażu. Powieść nie obumarła, pomimo, że wielu literatów przedwojennej generacji straciło smak do wszelkiej fabuły i fikcji powieściowej. Czy spodoba się to nam, czy nie, piśmiennictwo chłopskie przejdzie także do zmyślenia, do fabuły, przejmie dziedzictwo form literackich. I znowu — ten wnosek narzuca się jak obsesja — decydować będzie walka o przejęcie doświadczenia, o wyrobienie smaku, o poziom techniczny, o sprawy, w których stosować niepodobna żadnej odrębnej miary chłopskiej. Nowa sytuacja wymaga innego klucza, niż w latach przedwojennych. Czy znajdziemy ten prosty klucz w tygodniku „Wieś"? Szukajmy cierpliwie...

ADAM WAŻYK

„Szalony Dzień czyli Wesele Figara"

Kim był Piotr Augustyn Caron de Beaumarchais, autor najznakomitszej komedii francuskiej XVIII wieku zatytułowanej „Szalony Dzień czyli Wesele Figara"? Raczej należało by zapytać — kim nie był... Urodził się w Paryżu w roku 1732, jako syn zegarmistrza. Jakimś precyzyjnym wynalazkiem w dziedzinie szlachetnego rzemiosła, do którego przeznaczył go ojciec, potrafił zyskać sobie uznanie Akademii Nauk i przychylność dworu. Ale ten młodzieńczy sukces był zaledwie drobnym epizodem w jego bujnym życiu, życiu, które było mu właściwa i jedyną szkołą; życiu, które kocha namiętnie za przygody, uciechy i niespodzianki, jakich mu nie skąpiło. Nosi diabła za skórą, ale nie usiłuje nawet szukać figury, pod którą mógłby się pomodlić. Nie wystarcza mu to życie, jakie widzi dokoła siebie; znajduje się w ustawicznej pogoni za jego pełnią. Uczy kunsztu muzyki córki Ludwika XV, rzuca się w mętne wody kombinacji finansowych, zajmuje się polityką, ekonomią, sekretnymi misjami z ramienia dworu, jeździ do Hiszpanii, Niemiec, Anglii, walczy równie namiętnie o prawa autorów dramatycznych, jak o zorganizowanie pomocy dla powstańców amerykańskich. Ma wspaniałą fantazję i złoty gest wielkiego pana. Po śmierci Voltairea, chce uczcić jego pamięć i traci milion na zbiorowym wydaniu dzieł wielkiego filozofa. Jednocześnie potrafi procesować się, pisze swoje sławne „Memoriały", ulotki, paszkwile, komponuje utwory muzyczne, a poza tym jest... autorem dramatycznym.

Może powiedzieć o sobie słowami słynnego monologu Figara: „Wszystkom widział, wszystkom robił, wszystkiegom użył". Po Wielkiej Rewolucji ściąga na siebie podejrzenie, ratuje się ucieczką z Paryża, wraca w roku 1796 i umiera nagle w ostatnim roku XVIII stulecia.

Z sześciu utworów dramatycznych, jakie napisał, — obie komedie: „Cyrulik Sewilski" i „Wesele Figara" zdobyły sobie trwałą pozycję wśród najcelniejszych sztuk repertuaru teatralnego. Sławę swą zawdzięczają przede wszystkim postaci Figara, najznakomitszemu bohaterowi nowoczesnej komedii. Ten rozkoszny intrygant, geniusz sprytu, wyborowy strzelec najprzedniejszych żartów, powiedzonek i złośliwości, to nikt inny, jak tylko — sam Beaumarchais... Intryga i pieniądze — oto żywioł Figara i Beaumarchais'go zarazem... podczas, gdy młodzieńcze szaleństwa, jakie autor w swym arcybogatym życiu popełniał dla kobiet, znajdują odbicie w postaci figlarnego pazika — Cherubina.

Kiedy Beaumarchais napisał w roku 1778 „Wesele Figara" — nazwisko jego głośne już było w całym Paryżu. O to postarał się już — autor. W roku 1775 wystawia „Cyrulika Sewilskiego", a rok przed tym nazwisko jego, jako autora słynnych „Memoriałów", było na ustach całego Paryża... Owe niezwykłe „Memoriały", w których autor z żarliwą namiętnością przeprowadza własne „tezy" obrończe w procesach, w jakie się uwikłał, zostały w tysiącach egzemplarzy w ciągu kilku dni rozchwytane przez Paryż i przyniosły paryżanom wiele uciechy, autorowi zaś — sławę i popularność...

Ale premiera „Wesela Figara" mogła odbyć się dopiero w kilka lat po napisaniu sztuki... Utarło się powiedzenie, że Beaumarchais musiał wykazać więcej talentu dla wystawienia „Wesela", aniżeli dla napisania. Rękopis parokrotnie wędrował od cenzora do teatru i z powrotem... Wreszcie Jego Królewska Dostojność sam Ludwik XVI wraz z szacowną małżonką zechcieli łaskawie osobiście osądzić, czy można zaryzykować wystawienie utworu, o którym fama głosiła, że jest niebezpiecznie buntowniczy. „Ten człowiek wyśmiewa się ze wszystkiego, co należy szanować" — oburzył się król po przeczytaniu... „A więc sztuka nie będzie grana?" — zapytała Maria Antonina należąca zresztą do partii zwolenników „Figara". „Z pewnością — nie!" — zawyrokował Ludwik XVI. Beaumarchais umiał jednak „działać" i mimo opinii pana i władcy zorganizowano prywatne przedstawienie w sali prób Opery dla zaproszonych gości w wykonaniu aktorów Komedii Francuskiej... W ostatniej chwili przyszedł zakaz królewski... Sprawa stała się głośna... Podniosły się głosy niezadowolenia, rozczarowanie i zawiedziona ciekawość zaostrzyły tylko zainteresowanie... Taki huc[illegible] dokoła sztuki teatralnej zawsze i wszędzie stanowi najlepszą — reklamę. Autor, rozgniewany, oświadczył z wrodzoną mu „skromnością": „moi panowie, on nie chce, żeby sztuka była grana w teatrze... więc zaręczam wam, że będzie grana, choćby nawet w... katedrze Notre Dame!" Jednocześnie [illegible] rozpowszechniał zmyślone wieści, że z „Figara" zostały usunięte wszystkie powiedzenia mogące obrażać władzę... Król uznał więc, licząc, że sztuka, pozbawiona ostrza właściwej satyry — padnie. Na dzień 27 kwietnia 1784 roku wyznaczono premierę „Szalonego Dnia czyli Wesela Figara"... Był to rzeczywiście — szalony dzień! W teatrze dosłownie duszono się w ścisku... Ulice zatarasowane były pojazdami, należącymi oczywiście do... arystokracji... A najważniejsze, że — autor odniósł całkowity sukces. „Jest jednak coś bardziej szalonego od mojej sztuki" — powiedział po premierze Beaumarchais — „to jej powodzenie!"

Wszyscy uważali, że „Wesele" jest sztuką po prostu skandaliczną, niebezpieczną i rewolucyjną; wypowiadanie takiej opinii należało do dobrego tonu. Ale wszyscy chcieli zobaczyć przedstawienie, bo to również należało do dobrego tonu.

Sukces autora „Wesela Figara" polegał nie tyle na śmiałości i rewolucyjności zawartych w sztuce myśli, ile na nieomylnej sprawności ich — podania... Zwycięstwo autora i rozpętanie „burzy" dokoła „Figara" to przede wszystkim sukces znakomicie opanowanej sztuki teatropisarstwa, to zwycięstwo świetnego komediopisarza.

To, co mówi Figaro, z pewnością było niejednokrotnie czytywane w różnych broszurkach, pisemkach, a nawet i sztuczkach teatralnych epoki, tylko, że nikt nie potrafił wyrazić tego w tak kapitalnej formie, jak — Beaumarchais... Autor „Wesela" ani przez chwilę nie nudził słuchacza, potrafił bawić go, bawić, aż w końcu tak rozbawionemu posyłał złośliwe pchnięcia, trafny pocisk szyderstwa i dowcipu, który napotykając nieuzbrojonego w tym momencie śmiechem przeciwnika, działał szczególnie dotkliwie...

I pomyśleć, że sztuka, która dopiero po tylu perypetiach znalazła drogę do sceny teatru paryskiego, już na rok przed tym odegrana została w oryginale na amatorskiej scence w pałacyku księżnej de Nassau w Warszawie... A zawsze dbający o nowości repertuarowe Wojciech Bogusławski już w dn. 8 maja 1786 roku (a więc niespełna w dwa lata po prapremierze paryskiej) dał na deskach teatru wileńskiego, którego wtedy był kierownikiem, pierwsze przedstawienie sztuki w polskim przekładzie, nazwanej: „Dzień Pusty czyli Wesele Figara". Wkrótce po tym i publiczny teatr warszawski mógł się pochwalić afiszem o następującym brzmieniu: „Za pozwoleniem zwierzchności aktorowie Narodowi JKM-ci będą mieli honor dać dziś w Sobotę dnia 6 stycznia 1787 roku trzecią reprezentację komedii nowej z francuskiego przetłumaczonej w pięciu aktach, przeplatanej piosneczkami i tańcami, prozą, pod tytułem „Dzień Swywoli albo Wesele Figara".

Kazimierz Rudzki

Beaumarchais w Teatrze Wojska

„I pomyśleć, że ta poczciwa komedia niegdyś zwiastowała Rewolucję Francuską — mówił mi w przerwie na korytarzu na przedstawieniu „Wesela Figara" pewien znajomy literat — i pomyśleć, że tyle przeszkód musiała zwalczać.. Dzisiaj to tylko przemiła farsa, pełna teatralnego dowcipu, ze szczęśliwym zakończeniem! Ten Beaumarchais znał się na teatrze! A przy okazji warto się zastanowić nad ośmnastowieczną budową tej farsy. Co akt to nowe zasupłanie intrygi. Przypomina to ówczesne powieści, złożone z serii przygód"...

Nie ze wszystkim, co mówił mój znajomy literat, mogłem się zgodzić. Stary Beaumarchais znał się na teatrze, to prawda, ale z tą jego poczciwością sprawa nieco zawiła. Proszę bardzo — wyobraźmy sobie ówczesną widownię. W łożach arystokracja, kuzynkowie hrabiego Almavivy. W krzesłach łyki mieszczańskie, albo mówiąc ściślej, kapitanowie ówczesnych manufaktur i czarodzieje pieniądza, którzy już solidnie spętali nóżki i rączki hrabiom, a ponoć są jeszcze niczym i wiadomo, że chcą być wszystkim. Na scenie szaleje Figaro, bystry, obrotny, przepychający się przez życie sprytem, tupetem, intrygą, ambicją. Figaro to usposobienie wszystkich walorów, które z krzeseł przeciwstawia się łożom. To ci sami panowie z krzeseł, umniejszeni socjalnie w postaci cyrulika, znajdy bez rodu i kleinotu. Każda sytuacja na scenie ośmiesza niezdarność arystokratów i podnosi żywotność rozpierających się „cyrulików", z których w następnej generacji wyjdą bohaterowie Balzaka. Każde niemal zdanie to obelga dla lóż i radość dla krzeseł. Scena aż kipi niepohamowaną swadą publicystyczną i każde zdanie Figara to wariacja jednego życzenia: Panowie z lóż, wyrzeknijcie się przywilejów rodowych, uwolnijcie teren dla walki o byt przy wolnej konkurencji. Takie było skromne życzenie zdobywczej burżuazji...

Poczciwe to i łagodne? Ależ, to niesłychanie bezczelna i wściekła tendencyjna sztuka. Nie przeszkodziło to przeżyć jej o półtora stulecia konflikt społeczny, który ją wydał. Kto wie, czy w 1784 r. Rewolucja nie była już dokonana. Rzeczywiście, poświadczyć o tym może nie tylko „Wesele Figara", ale również zespół ówczesnych stosunków produkcyjnych i handlowych, wobec których struktura feodalnych przywilejów stała się anachronizmem. Po kilku latach diukowie, książęta i hrabiowie zrzeygnowali ze swoich przywilejów w ciągu jednej nocy. Czy można wyobrazić sobie bardziej łagodną rewolucję? Tylko że po geście wyrzeczenia nastąpiły intrygi z królem pruskim. Koblencja i Wandea. Nie tylko „Wesele Figara", ale i doświadczenie historii poucza, że krwawy styl wprowadzają nie rewolucjoniści, ale ci inni. Takiego obrotu wydarzeń nie przewidział Beaumarchais, bo też jego Almaviva nie przypomina dalszych swoich losów.

Na scenie Teatru Wojska wystawił „Wesele Figara" z dużym poczuciem stylu i sensu młody reżyser Rudzki. To śmiałe i udane pociągnięcie teatru potknęło się o niefortunną obsadę roli Figara. Arrywista, rezoner, owszem, ale bystry w ruchach, obrotny, lotny, wszędobylski, tylko takim można go sobie wyobrazić. Tymczasem tych niezbędnych atrybutów fizycznych zabrakło Dobiesławowi Damięckiemu, po scenie spacerował rezoner o zwolnionej reakcji, nie wnosił temperamentu młodego prężnego mieszczaństwa, nie wpadał w styl i atmosferę przedstawienia. W znakomitym monologu piątego aktu reżyser słusznie umieścił go nie na proscenium, ale w głębi — aby wcisnąć go w sztukę, w dekorację, w epokę, a nieszczęsny Figaro za wszelką cenę usiłował wyskoczyć z ram sztuki, wziąć rozbrat z historią, zaktualizować swoje credo. Drugim na mniejszą skalę nieporozumieniem była postać Cherubina (Wołłejko). Tradycja chce, aby tę męską rolę powierzano „młodej, pięknej dziewczynie". Na tę tradycję składa się i komediowy usus „maskarady płci" i coś jeszcze: w każdej schyłkowej warstwie występuje jako zjawisko obyczajowe owa „niepewność płci", jak nazywano to w latach międzywojennych. Ostatecznie można się przy tradycji nie upierać, ale nie trzeba zapominać, że Cherubin to ostatnia generacja tej frywolnej society, którą upamiętnił Crebillon Syn. Westchnienia Cherubina do hrabiny są tylko sentymentalnym stylem zalotów bardzo zepsutego niecponia, który chętnie zakosztowałby z każdego przydrożnego ula. A ten oto Cherubin okazał się sentymentalny po drobnomieszczańsku i na serio. Natomiast w wybornym stylu schyłkową postacią arystokraty o rozproszonej woli i zwiotczałym umyśle był hrabia Almaviva (Krasnowiecki). Wigor życia, temperament i spryt, zwykle rozdzielony między Figara i Zuzię, tym razem wzięła na siebie czarująca subretka (Romanówna), grała jakoby za dwoje i ostatecznie Wesele Figara zmieniło się w Wesele Zuzi. Delikatna hrabina (Grabowska) miała, jak wydaje mi się, styl bardzo właściwy. Sędzia (Grabowski) rozśmieszał widownię wspaniałą kondensacją cudactwa. Zresztą rozśmieszały ją najbardziej padające ze sceny aforyzmy na temat kobiet i małżeństwa, te prototypy wszystkich dowcipów, powtarzających się od czasów Beaumarchais we wszystkich farsach mieszczańskich. Ta dość określona wrażliwość słuchaczy jest doprawdy zastanawiająca — Teatrowi Wojska należałoby życzyć nieco innej publiczności.

awk.

NOTY

SKRYTOBÓJCY

Przeżywamy niezmiernie trudny okres naszych trudnych czasów. Im bardziej realnym faktem staje się zjednoczenie narodowe, im szerszą podbudową społeczną rządu jedności, im bardziej wyraża się to w formach instytucjonalnych, w konkretnej zorganizowanej, długofalowej działalności wielu, działalności powiązanej wieloma nićmi z polityką obozu demokratycznego — tym bardziej wyobcowane elementy reakcyjne staczają się do roli agentur zdecydowanie antynarodowych, tym bardziej bezwzględnie działają nie oglądając się na honor i interes ogólny, tym częściej sięgają do broni skrytobójstwa.

Walka z tymi agenturami, walka z ich prowokacjami jest trudna. Zwłaszcza, że nasz aparat bezpieczeństwa, często jeszcze niedostatecznie wyszkolony, nie zawsze jest na wysokości zadania. Pracuje ofiarnie, ale nie zawsze umie działać profilaktycznie.

Rozumiem dobrze reakcję opinii społecznej. W kraju zwyciężyły elementy przyszłości, klasy, którym zależy na spokoju, stabilizacji, pracy nad odbudową. Ich bowiem jest przyszłość. Grupy narodowe skłonne do nieodpowiedzialnego awanturnictwa, których przodownicy inicjowali imprezy w rodzaju powstania warszawskiego, odeszły w cień. Naród chce praworządności i dąży do niej. Taki też jest sens polityki wewnętrznej rządu jedności. Tym żywiej, boleśniej odczuwamy zdarzające się jeszcze (z przyczyn wyżej wyłuszczonych) prowokacje, mordy, naruszenia ładu publicznego. Radzi byśmy, aby państwo potrafiło nas ustrzec przed tym. Otóż — morderstwa są co prawda dziełem różnych elementów przestępczych. Państwo tępi je z jednakową surowością. Ale 90 proc. trupów pada na naszej ziemi z rąk band NSZ. Z tym złem musi walczyć nie tylko aparat bezpieczeństwa. Musi w imię swego żywotnego interesu walczyć całe społeczeństwo. Tymczasem opinia publiczna reagując histerycznie na każde nadużycie władzy — wobec sprawy agentur NSZ — nie wytwarza dostatecznie groźnego klimatu oburzenia i pogardy. A trzeba tępić wszystko, co sprzyja rozwojowi tej agenturowej reakcji na naszych ziemiach. Tępić zarówno organizacje tego typu, jak nastroje, idee, hasła, wszelkie przeżytki faszyzmu. To będzie milowy krok na drodze pożądanej przez wszystkich praworządności. Wszystkie inne bowiem nadużycia poza zbrodniami NSZ, to liczbowo biorąc są dzisiaj rzeczy drugoplanowe.

zlk

KOKIET Z PANA, P. WYSZOMIRSKI!

Niektórzy dziennikarze zachowują się jak wstydliwe panny. Mizdrzą się w artykułach i różują jak mogą wybladłe policzki. Wywołuje to zawsze rumieńce na twarzy czytelnika. Do dziennikarzy tego typu należy przede wszystkim Jerzy Wyszomirski z Dziennika Łódzkiego. Kokiet z tego Wyszomirskiego! Niby nic, niby się nie zna na niczym, niby to skromny, a pisze o wszystkim. Wystawił Brzechwa z Minkiewiczem Szopkę — Wyszomirski napisał felieton, że chociaż się nie zna... Napisał Pasternak i Słonimski wiersze, przetłumaczył Sandauer Majakowskiego, wydali swoje książki, a tu już Wyszomirski pisze felieton.. Że on nic, że się nie zna... A kokiet z niego!

To, że kokiet, to głupstwo. To prywatna sprawa Wyszomirskiego i jego najbliższych, ale to, że Wyszomirski pisze nietaktowne recenzje, to już inna sprawa. W nr 1 „Dziennika Łódzkiego" ukazał się felieton Jerzego Wyszomirskiego pt. „Niewspółmierni". Jest to zbiorowa recenzja z książek Pasternaka, Sandauera, Słonimskiego. Niewspółmierni — to dwaj pierwsi w stosunku do trzeciego. Gdzie Rzym, gdzie Krym, panie Wyszomirski! A poza tym to bardzo nietaktowne! A poza tym Wyszomirski udaje przed czytelnikami, że się nie zna na poezji. Nieprawda, czytelnicy! Wyszomirski naprawdę się nie zna na poezji, tylko taki kokiet z niego, że udaje że się nie zna.

pl.

SKĄD GŁOS?

Częste stały się głosy o zagadnieniach historiozofii. Miotanie się w sprzecznościach, mętność i błędność poglądów niektórych publicystów wypływa nie tylko z ograniczeń podstaw idealistycznej historiozofii. Rozbieżność, niejednolitość poglądów odłamu myśli politycznej, do którego lgną koła dalekie ongiś od niego, zadokumentował m. in. 8-my numer „Piasta".

„Rozważania polityczne z okazji rocznic historycznych", jak brzmi podtytuł artykułu obiecująco zatytułowanego „Przeszłość przyszłości".

Bezsprzecznie konieczne jest opanowanie mistycznego rozdęcia romantycznej myśli politycznej, konieczne jest wzmożenie realizmu, co pozornie stanowi troskę autora. Ale posłuchajmy rozważań:

„Nie na tym jednak koniec. Skoro bowiem Polakom udało się w r. 1815 utrzymać zawiązek własnej państwowości pod postacią Królestwa Kongresowego, to zamiast pracować nad utwierdzeniem i rozbudową tego ośrodka, pośpieszyli postawić jego losy na jedną i to słabiusieńką kartę. Oczywiście stracili wszystko po upadku wywołanego przez grupę młokosów i zapaleńców Powstania Listopadowego (rok 1830 — 1831). A gdy w trzydzieści lat później margr. Wielopolski podjął udaną próbę odzyskania dla Królestwa pełnego samorządu, to storpedowało ją zaraz rozpalone przez niecierpliwych patriotów Powstanie Styczniowe (1863/4)".

A dalej... "To samo mniej więcej powiedzieć można o awanturze, w jaką nas uwikłał Piłsudski w 1920 r. przez swoją wyprawę kijowską, która o włos tylko nie zakończyła się katastrofą ledwie co zmartwychwstałego państwa, podobną do tej, która spotkała Stolicę po upadku, niemniej lekkomyślnie wywołanego Powstania Warszawskiego w 1944 r.".

Starczy — Kościuszko to „kapany w gorącej wodzie patriota", powstanie listopadowe to figiel niemal „młokosów i zapaleńców", powstanie styczniowe — karygodne „storpedowanie" błogosławionej działalności Wielopolskiego. Lekką ręką autor na jednej płaszczyźnie stawia powstanie styczniowe i imperialistyczną awanturę Piłsudskiego. Potępia autor i powstanie warszawskie 1944. Polska myśl demokratyczna krytycznie ocenia błędy polskiego ruchu narodowo - wyzwoleńczego, również uważa za zbędną, jak autor nazywa „hurra patriotyczną trantadrację", widzi intrygę reakcji w tragicznym powstaniu warszawskim, ale tradycje szczerego, czynnego patriotyzmu uważa za swoją tradycję. Z innej i w inną stronę patrzy autor. Z toku rozważań wynikało by, że słuszność miał ks. Lubecki i Chłopicki — prawda? I oczywiście margrabia Wielopolski, a dalej zapewne trójlojaliści i endecy, a dalej głosiciele trwania „z bronią u nogi", a może i prof. Młynarski? Nurt ten w dziejach naszego narodu jest, i znany i nazwany. Dokąd tym nurtem popłynie autor ob. AB, jeśli dogada się do Z? Czy ten nurt, którym płynęli ks. Lubecki i margrabia Wielopolski nadal rozlewać się będzie mętną pianą w rozwartych łamach Piasta? Ku jakiej przyszłości prowadzą takie rozważania o „Przeszłości przyszłości". Kogóż nam Piast wypiastuje?

bd.

O MORALNE ODRODZENIE JEDNOSTKI

„Przymknijmy oczy i spójrzmy wyobraźnią w ulice naszych miast: Warszawa, Łódź, Wrocław, Kraków, Poznań, Bydgoszcz, Gdańsk. Mży deszcz, otacza nas mglisty, zimowo - jesienny półmrok, na ruchliwym przystanku tłok, nerwowe wyczekiwanie, no i wreszcie podchodzi... upragnione „4", „5", „6" czy „8" — tłum skłębił się i runął ku wejściom żywiołowo, bezwzględnie z całą siłą fali zrywającej wszelkie tamy dobrego obyczaju. Kobieta brzemienna, staruszka drżąca, starzec na chwiejnych nogach, matka z dzieckiem na ręku: wszystko to bez znaczenia.

Miejsce zdobywa kto silniejszy. Dla wysiadających walka przeciw prądowi, a kto wsiadł, to z myślą o sobie, na platformie — w porządku, dalej nie posuwa się, bliźni za nim — niechaj wisi na stopniu, niech go pędząca ciężarówka zabierze pod koła (wypadki na porządku dziennym), przecież mało nam zabrała wojna ofiar... byłem JA jechał.

Wszędzie w polskich miastach te same obrazy: wyzwiska, klątwa, dzwonek konduktora, upadek ze stopnia w błoto itd. — Ulice pulsują życiem..."

I drugi obrazek:

„Parę dni temu w południe dzieci w wieku około 10 lat bawiły się saneczkami w Alei Niepodległości, róg Rakowieckiej. W tym czasie przejeżdżało platforma kilku mężczyzn. Jeden z nich zeskoczył z platformy do bawiących się dzieci i batem uderzył posiadacza sanek przez głowę i plecy, jego zaś kolegę przez głowę i ucho. Sanki wyrwał dzieciom z rąk i zabrał na platformę. Zgraja mężczyzn na platformie reagowała dzikimi śmiechami na wyczyny swego barbarzyńskiego kolegi.

Dzieci po opanowaniu bólu, podbiegły do przechodzącego oficera WP z prośbą o pomoc w odebraniu sanek. Chcąc dogonić uciekającą platformę, oficer usiłował zatrzymać przejeżdżające samochody, jednak żaden samochód nie zwolnił nawet biegu. Wówczas chłopcy zwrócili się do przejeżdżającej na rowerze nieznajomej pani, prosząc o zatrzymanie platformy.

Pani pojechała za uciekającymi, widocznie jednak bez rezultatu, gdyż do dzieci więcej nie wróciła.

Zajście to wydaje się błahostką. A jednak należało by potraktować je poważnie ze względu na to, że wyrządzono krzywdę dzieciom, którym należy się opieka i troskliwość ze strony wszystkich.

Nie biorąc już pod uwagę strat materialnych — zastanówmy się, jakim przeżyciem musiało być dla dzieci zetknięcie się z brutalnością i niesprawiedliwością ludzką. Życie w naszym państwie inaczej winno wyglądać".

Oto dwa wycinki z prasy codziennej.

To tylko kropla w morzu działalności ludzkiej naszych dni. Oczywiście są to objawy zdziczenia moralnego, znieczulenia społecznego — dziedzictwo okupacji hitlerowskiej. W nawale spraw i zadań dzisiejszych nie wolno o tym zapominać.

fel.

WSZYSCY CZYTAJĄ KLASYKÓW

Pozwoliłem sobie na tęgi zastrzyk Balzaka. To jest konieczne nawet wtedy, kiedy „Czytelnik" już wydaje książki.

Niezrównany „Proboszcz z Tours" nasunął mi pewne myśli z zakresu polityki wydawniczej. Dawno nie czytałem tak pełnej i aktualnej ideologicznie książki. Niech się schowają wszystkie nasze dyskusje z „Tygodnikiem Powszechnym". Sugestia Balzakowska jest tak potężna, że od „Proboszcza z Tours" wstaje z przekonaniem, iż środowisko religijne nie mogło wydać nic innego poza światem wewnętrznym dwu przedstawianych w opowieści księży. Możliwości duchowe człowieka zostają tu w pełni określone przez warunki i instytucje i to w sposób podbijający, usuwający wątpliwości. Jeśli klerykalizm niesie niebezpieczeństwa, jeśli grozi wolności człowieka — Balzak jest najlepszą odtrutką. Demaskuje przeciwnika jak nikt. Ta opowieść jest dziełem wspaniałego propagandysty. (Pomijam świadomie wszystkie inne zalety). Nasze tradycyjne antyklerykalne organizacje jak ZNP np. winny je wydać dla mas, jako propagandową aktualną broszurę.

Wśród klasyków takich pisarzy mamy wielu. Wiele takich książek. Lektura klasyków ze względu na ich zwyciężające bieg zdarzeń i czasu bogactwo duchowe zawsze uzbrajała kulturalnie czytelnika. Ale klasycy nie przynosili sensacji — toteż nie wytrzymali konkurencji z romansem sensacyjnym. Nie byli czytani. Dzisiaj koniunktura zmieniła się. Książek nie ma. Rynek jest fantastycznie chłonny. **Możemy nauczyć masy czytać i smakować klasyków.** Zwłaszcza, że większość tych książek odznacza się nie tylko doskonałością artystyczną, ale i aktualnością ideową, wnosi te elementy, które uzbrajają człowieka do walki o postęp.

Dotychczas nie została podjęta żadna planowa, na wielką skalę akcja wydawania klasyków światowej literatury. Książeczka Balzaka skłania mnie do wysunięcia tego hasła nie ze względu na konieczną, ale nieodczuwaną jako potrzeba chwili ciągłość tradycji kulturalnej — ale ze względów politycznych, ponieważ książki te lepiej niż inne spełniają we właściwym doborze aktualne zadania ideowe i wychowawcze na dzisiaj.

A jednocześnie nauczywszy masowego odbiorcę obcować z klasykami — zasypiemy niebezpieczną dla życia narodowego przepaść kulturalną.

zlk

NOWY ODBIORCA KSIĄŻKI CZEKA NIEZAUWAŻONY

Mało jest u nas planowania w dziedzinie wydawniczej. Ale i nad tymi ułamkami myślą starzy inteligenci, z dobrze przedwojennej generacji. Toteż — jak świadczą dyskusje literackie — troszczą się raczej o typ lektury dla sobie podobnych. Ostrzegają przed Valerym czy Proustem. Nie myślą o nowym odbiorcy. Sceptycy demokracji nie oczekują go tak rychło. A on tymczasem już jest i czeka niezauważony. Czyta wszystko co mu się daje, od Przybosia do słowniczków propagandowych. Rozkupuje 10-tysięczne nakłady nawet słabych powieści w ciągu paru tygodni.

Trzeba przyznać, że tego nikt się nie spodziewał. Jeśli do 1939 r. „Wiadomości Literackie" — najpoczytniejsze wówczas czasopismo literackie — miało w najlepszym razie poniżej 14.000 nakładu, to jak wyjaśnić fakt, że „Odrodzenie" rozchodzi się w 30.000? Wieś zaczęła czytać! Jest to tym dziwniejsze, że na wzbogacenie wsi w rezultacie reformy rolnej trzeba czekać. Sytuacja materialna chłopa nie jest dobra. Nie ma on bynajmniej o tyle więcej pieniędzy, żeby go było stać już na książki. Chłop aby czytać robi wysiłki, szarpie się na to materialnie. Przyczyny tego zjawiska są jasne. Jeśli reforma rolna nie wzbogaciła odrazu wsi, to była niezastąpioną podbudową nowego życia, wraz z innymi przemianami, ustrojowymi demokracji emancypowała wieś społecznie. Dziś młodzi przodownicy „Wiciowi" widzą w nowej Polsce przed sobą wyraźne i dostępne drogi awansu społecznego. Na nich to czekają stanowiska administracyjne, Rady Narodowe, stopnie oficerskie. Ta świadomość, że możliwości życiowe są duże, pcha do pracy nad sobą, do samokształcenia, do czytania.

Otóż tego odbiorcy nie trzeba odganiać od Conrada i Prousta, trzeba go natomiast uczyć elementarnych rzeczy, trzeba go wiązać z europejską, postępową tradycją kulturalną. W naszych planach wydawniczych i przygotowujących je w dyskusjach literackich trzeba już o tym najważniejszym odbiorcy pomyśleć. A dalej — wieś dzisiaj czyta — za pięć lat będzie samodzielnie pisać. Trzeba obmyśleć politykę szkolenia tych arcyprymitywów. To jest inna problematyka niż przesłaniające nam dzisiaj wszystko leczenie starej inteligencji ze snobizmu. Dotychczas zajmowało się tymi sprawami tylko jedno pismo „Wieś". To mało.

Wzywam do poruszenia tych nowych tematów w dyskusjach literackich. Proszę z tym, do „Kuźnicy".

zlk

POLONISTYKA UNIWERSYTECKA

Wiemy, że kadry naszych uczonych są niemiłosiernie przetrzebione przez okupanta. Nie były uzupełniane przez lat sześć! Rozumiemy jak to opóźnia proces uzupełniania dzisiaj. Zwłaszcza, że dołączają się trudności ekonomiczne.

Jest przecież dziedzina wiedzy, która wymaga szczególnie energicznych kroków zaradczych. To polonistyka. Doszło do tak paradoksalnej sytuacji, że w Polsce są uniwersytety, na których nie ma kim obsadzić literatury polskiej.

Przy tym niedobór ilościowy idzie tu w parze z jakościowym. Wiadomym jest, że u nas tradycyjnie (po ekselencji hrabi Tarnowskim) historia literatury polskiej była ulubioną zabawą endeków i towiańczyków.

Koniecznością chwili staje się natychmiastowe ufundowanie paru stypendiów, które by przeznaczone były wyraźnie na wyszkolenie uniwersyteckich polonistów. A ufundować je powinny we własnym interesie demokratyczne partie polityczne, demokratyczne organizacje młodzieżowe.

Bo katedra literatury ojczystej jest trybuną o szczególnym zasięgu ideowym. Tak bowiem czy inaczej na literaturze w znacznej mierze wychowujemy naszą młodzież.

zlk

Przegląd prasy

Roczny bilans naszej prasy literackiej przedstawia się niewątpliwie dodatnio. Obok wydawnictw centralizujących literackie życie kraju jak „Twórczość", „Odrodzenie", „Życie literackie", powstała pewna ilość pism typu raczej publicystycznego. Zwłaszcza środowiska katolickie ożywiły działalność swojej prasy periodycznej, która do niedawna reprezentowana była wyłącznie przez krakowski „Tygodnik Powszechny". „Dziś i Jutro" i „Tygodnik warszawski" poświęcają mniej nieco miejsca literaturze, wypełniając swoje łamy materiałem publicystycznym z zakresu życia politycznego i społecznego. Zagadnienia literackie znajdują również rzecz prosta, swoje odbicie w tej prasie, tym bardziej, że zagadnienia literackie zazębiają się przecież dziś tak mocno o postawy społeczne.

Rzecz jasna, że pisma obozu katolickiego nie poprzestają na akademickiej dyskusji. Prowadzą one ofensywę na szerokim froncie spraw kulturalnych, społecznych, politycznych i nawet gospodarczych. Rzeczą dość znamienną np. jest stały dział gospodarczy w „Dziś i Jutro". W katolickiej prasie tego typu sprzed wojny dział taki był bardzo zaniedbany albo redagowany na marginesie innych.

„Odrodzenie" poświęciło numer świąteczny (56—57) Warszawie, ściślej: sprawom odbudowy Warszawy. Interesujący zwłaszcza jest artykuł Stanisława Dziewulskiego: „Miasto — monument", wyjaśniający istotę urbanistyki i jej związki z życiem społecznym. Dwie koncepcje dotyczące Warszawy — odbudowa, czy przebudowa miasta dyskutuje Adam Kotarbiński w artykule „Odbudowa czy przebudowa?" Autor przychyla się raczej ku tezie przebudowy, wychodząc z założeń celowości i planowości.

W dziale poetyckim znajdujemy m. in. trzy wiersze Stanisława Wygodzkiego. Julian Przyboś w artykule „Na linii poetyckiej" broni zasady „dobrej poezji" tzn. takiej, która wynika ze świadomej pracy poety i z jego świadomego stosunku do sztuki. Przyboś postuluje, że „Najpierwszym obowiązkiem społecznym artysty jest obowiązek wobec sztuki, powinność osiągnięcia najwyższego poziomu artystycznego".

Następnie autor „Miejsca na Ziemi" rozprawia się z zarzutami niezrozumialstwa, twierdząc, że „utwory istotnie niezrozumiałe to po prostu nieudałe, złe wiersze...". Przyboś żąda, by dla nowej pozornie niezrozumiałej poezji znaleźć nowe kryteria: „trzeba ją mierzyć nową wrażliwością..." Wreszcie, co należy specjalnie podkreślić, występuje autor przeciwko przyrządzaniu literatury „dla mas", w obawie, że: „Preparowanie specjalnie strawnej papki z przeżutej banalnej sztuki jest.. szkodliwe dla wychowania estetycznego mas". Wobec powtarzających się bezustannie prób symplifikacji sztuki, czy to literatury czy teatru — wypowiedź Przybosia jest niezmiernie aktualna. „Bardzo wiele — kończy swój artykuł Przyboś — zależy.. od światłej krytyki, od umiejętności uprzystępnienia masom „trudnej" sztuki.. Dzisiaj prawie wszystko zależy od oświaty".

Ostatni zeszłoroczny (13/14) numer „Życia Literackiego" przynosi w dziale prozy początek noweli Jarosława Iwaszkiewicza „Młyn nad Lutynią". W dziale poezji oryginalnej wiersze Wojciecha Bąka, Ryszarda Matuszewskiego, Włodzimierza Słobodnika i inn. Zwraca uwagę pierwszy, zdaje się całkowity, przekład poematu Pawła Valery'ego „Młoda Parka", dokonany przez Romana Kołonieckiego. O „Zapomnianej poznańskiej książce" pisze K. W. Zawodziński. Jest to krótkie studium o „Opowieściach niezwykłych" Włodzimierza Perzyńskiego.

ph

Redaguje Zespół „Kuźnicy". Redaktor Naczelny: Stefan Żółkiewski.
Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.
D—06318
Adres redakcji i administracji: Piotrkowska 96, tel. 205-42.
Prenumerata miesięczna zł 21,—, kwartalna zł 63,—.
Wydawca: Zespół „Kuźnicy". — Drukarnia Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik" Nr. 4, ul. Żwirki 2.